LUBLIN
czyt. 2552/1978/5

ZŁOTORĘKI „ASTRALVI”

Marek Zdrojewski

str. 9

Na zrywce

Taisa Katner str. 7

RZECZY PIERWSZE MGLISTE

Marek Sołtysik

str. 11–12

ROK ZAŁOŻENIA 1933

kamena

LUBLIN 5 III 1978 Nr 5 (647) DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY CENA 3 ZŁ

Gdzie ten kur?

Zygmunt Mikulski

JEDNĄ z osobliwości czasu, w którym żyjemy, jest masowe pojawienie się wierszy. Datuje się to od dawna, ale zjawisko znajduje się w trakcie eskalacji i obecnie mamy je w stopniu spotęgowanym. Do czego doprowadzi ów demograficzny wyż poezji? Trudno przewidzieć. Redakcje nie są w stanie go przyjąć, już zachodzi konieczność eutanazji w stosunku do przeważającej części utworów. Czy staniemy przed potrzebą sterylizacji poetów?

Kiedyś to się regulowało samoczynnie: istniała równowaga między rozmiarem miejsca przeznaczonego na poezję, a liczbą dobrych wierszy. Dobrych — to znaczy spełniających wymagania jakości stawiane przez redakcje, krytykę, czytelników. Więc może wobec ilościowego wzrostu tekstów należałoby podnieść tzw. „próg drukowalności”? Jest to rozwiązanie sensowne, ale w praktyce niewykonalne. Bo cóż? Odpowie redakcja Świrszczyńskiej, Kurkowi, Harasymowiczowi, Białoszewskiemu, że jego (jej) wiersz nie osiąga „progu drukowalności”? Znajdzie się kontrargument wobec młodego ultra-awangardzisty, skoro podnosi się potrzebę eksperymentu? Nie wywalczy sobie pozycji krzykliwy antytradycjonalizm reklamujący się jako poezja jutra? I czy wreszcie przy pomieszaniu kryteriów nie przesmyknie się przeciętność jako odprężenie od nadmiernego skomplikowania nakazanego

Dokończenie na str. 3

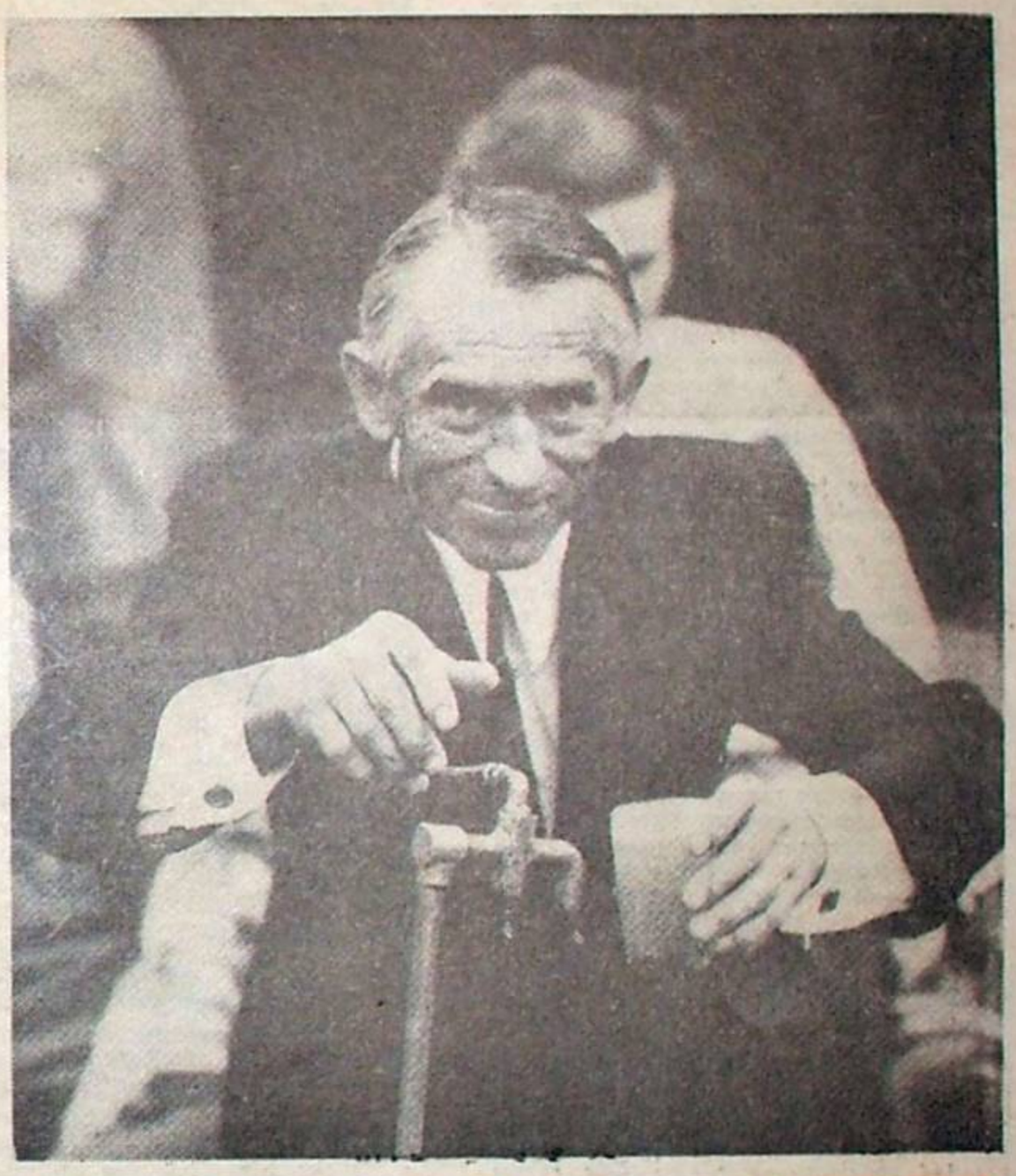

Nareszcie mieliśmy okazję zapoznać się z twórczością fotograficzną Waldemara Stępnia — w pełnym jej wymiarze estetycznym i poznawczym. Autor, jeden z najbardziej aktywnych fotografików lubelskich, wrażliwy obserwator polskiej codzienności społecznej i zarazem subtelny interpretator pejzażu — wystawia przecież niezbyt często, pochłonięty reporterką na użytek prasy codziennej, która nie zawsze potrafi odpowiednio wyeksponować walory tej ciągle świeżej, bogatej informacyjnie i dojrzałej artystycznie twórczości. (Wystawa Waldemara Stępnia czynna była w styczniu i lutym br. w Wojewódzkim Domu Kultury w Lublinie. Recenzję zamieścimy w jednym z najbliższych numerów „Kameny”).

listy do kameny

„JAKA TAM ZNACHORKA”

Panie Redaktorze,

w nr 2 (644) „Kameny” z dnia 22 stycznia br. ukazał się reportaż pt. „Jaka tam znachorka!”. Tekst ten omawia działalność znachorki, znanej jako Serwinka, praktykującej podobnie jak jej nie żyjący już ojciec we wsi Tarło k. Lubartowa.

Znachorstwo uprawiane w różnych dziedzinach i w różnych formach organizacyjnych budziło zawsze i budzi nadal żywe dyskusje cechujące się wielkim zróżnicowaniem poglądów. Rzecznicy znachorstwa popierają swe argumenty nader często przykładami uzdrowień w przypadkach beznadziejnych, albo też wyleczenia powikłań zawinionych przez lekarzy. Tylko w tak wytworzonej aurze może działać znachor, on więc jest z reguły autorem, albo inspiratorem odpowiednich informacji.

Spostrzeżenia będące treścią opowiadania p. Krzysztofa Wocha o znachorce z Tarła oddają trafnie zwykły ton rozmów prowadzonych w sprawach znachorów. Podobne wypowiedzi słyszy się zwłaszcza tam, gdzie stykają się ludzie sobie nieznani (poczekalnie dworcowe, targowiska itp.), często ludzie prości i bezkrytyczni i może dlatego rozmowni. Niestety, odpowiedzialność za słowo spada w takich zespołach prawie do zera, zaś skłonności do wzbudzania zainteresowania swoją osobą stają się zasadniczym motywem wystąpień.

Autor reportażu, zapewne jeszcze mniej obeznany ze sprawami czynności zarówno zdrowych jak i uszkodzonych narządów ruchu niż jego rozmówczyni, szybko połknął zastawiony nań haczyk wraz z przynętą. Ową przystawioną przynętą są słowa podsuwane przez znachorkę o ludzkiej wdzięczności i dowodach uznania za „leczenie”, haczykiem zaś pośrednia aprobata działalności znachorki w czołowym piśmie społeczno-kulturalnym naszego regionu.

Ale nie te aspekty skłaniają mnie do zabrania głosu lecz fakt, że Serwinka uprawia swą działalność na osobach z uszkodzeniami narządów ruchu. Powszechność takich uszkodzeń, wysokie zagrożenie powikłaniami i niepowodzeniami prowadzącymi dość często do trwałych dysfunkcji budzi sprzeciw wobec dopuszczania osób spoza służby zdrowia do niesienia pomocy w razie urazowych uszkodzeń kończyn. Z drugiej jednak strony względy dobra społecznego przemawiają za udzieleniem takich uprawnień osobom spoza zawodów medycznych z ograniczeniem interwencji do określonych sytuacji nagłych. Najczęściej chodzi o wczesne rozpoznanie istoty i zakresu uszkodzeń narządów ruchu oraz decyzję, czy należy udzielić natychmiastowej pomocy poszkodowanemu, czy też przekazać go do kompetentnej jednostki służby zdrowia.

Cenimy wielce osoby, które potrafią sprostać takim zadaniom i umieją postępować w nagłych przypadkach (uliczne nastawienie zwichnięcia, zatamowanie krwawienia, unieruchomienie złamanej kości). Wszystkie takie działania, nader pozytywne zarówno z medycznego jak i ze społecznego punktu widzenia, cechują się bezinteresownością. Ta właśnie bezinteresowność stanowi wyróżnik nader istotny spontanicznych ratowników. Przeciwnie jej oczywiście działania znachora; choć znajdzie on zawsze okazję do podobnych deklaracji, w rzeczywistości postępuje odwrotnie. Znachor musi sobie organizować klienteli, zatrudniać naganiaczy, neutralizować osoby, które mogłyby mu szkodzić, pozyskiwać życzliwość opinii. To wszystko kosztuje i koszty te muszą pokrywać klienci.

Podczas gdy samorzutni, bezinteresowni ratownicy są naturalnymi, cennymi sojusznikami służby zdrowia, należy ze względów zarówno medycznych jak i społecznych ujawniać szkodliwość znachorstwa.

Na szczęście dla klientów zakres „zabiegów” stosowanych przez znachorów jest nader ograniczony. Składa się nań opatrywanie złamań, których częstokroć w ogóle nie było, „prostowanie” wygięć kości itp., choć oczywiście są to raczej gesty i rękoczyny naśladujące tylko postępowanie lekarskie, a pozbawione jego istotnej treści. Okładanie rąk i nóg sadłem ma na celu zyskanie na czasie, aby mogły ujawnić się naturalne odczyny naprawcze uszkodzonych tkanek; ponadto odrębność takiej kuracji nie mającej odpowiednika w żadnej jednostce służby zdrowia działa na psychikę wielu osób.

Niebezpieczeństwa poczynań znachorskich wypływają głównie z nieznajomości istniejących a nie rozpoznawanych zagrożeń dla czynności ruchowych. Często dochodzi przecież do podobnych pozornie, w istocie zaś zupełnie różnych uszkodzeń narządów ruchu. Znachor nie ma szans sukcesu w uszkodzeniach, które wymagają szybkiego zabiegu operacyjnego, a których on nie potrafi w ogóle rozróżnić. Stosowana kuracja sadłem czy prostowanie złamanego łokcia przy pomocy wiadra z węglem odwlekają w takich przypadkach termin niezbędnego zabiegu i prowadzą do trwałego kalectwa.

Wbrew temu co twierdzi znachorka, najbardziej pożądanymi klientami są osoby, które nie doznały spodziewanej poprawy w jednostkach służby zdrowia, zwłaszcza zaś, gdy doszło tam w trakcie leczenia do jakichkolwiek powikłań. Niepowodzenia poszczególnych lekarzy, usterki i niedostatki organizacyjne służby zdrowia przysparzają klientów znachorom. Im gorzej działa służba zdrowia, tym lepiej prosperują oni sami, stając się w pewnej mierze wskaźnikiem słabości organizacyjnej ochrony zdrowia.

Dokończenie na str. 15

z notatnika

Lublin w Wiedniu (II)

Marek Adam Jaworski

NAJBARDZIEJ oficjalny akcent Dni Lublina w Wiedniu — wizyta w Hofburgu, spotkanie z Pierwszym Obywatelem Republiki, prezydentem dr. Rudolfem Kirchschlaegerem, już poza nami. Poza nami również otwarcie wystawy malarskiej i odczyt prof. dr. Grzegorza L. Seidlera na temat przyczynku Lublina do nauki i kultury polskiej. Profesor mówił po niemiecku, obiecał, że tekst tego wystąpienia przygotuje do „Kameny". Trzymam go za słowo!

Piątek to już dzień bardziej towarzyski. W południe — cocktail w ambasadzie polskiej. Chyba nie tylko trunki powodują, że atmosfera jest niezwykle bezpośrednia. Gospodarze ambasador dr Ryszard Karski i jego małżonka — czynią wszystko, aby każdy z przybyłych czuł się tu jak we własnym domu. Dla Polaków za granicą ambasady PRL zawsze stanowią skrawek ojczyzny. Trzeba przyznać, że ambasada polska w Austrii, znajdująca się w przepięknym pałacyku, sprawia niezwykle przytulne wrażenie. Ale oczywiście nastrój tworzą przede wszystkim ludzie. Ambasador Karski, radca Zbigniew Tomkowski, inż. Antoni J. Tyl, mgr Józef Kowalski — trudno mi wymienić wszystkich — poświęcili wiele czasu, aby Dni Lublina w Wiedniu wypadły jak najbardziej okazale. Zawsze serdeczni, uczynni, bardzo bezpośredni; tych ludzi zapomnieć nie sposób...

Więc cocktail trwa. Kanapki jak kanapki, wyborowa jak wyborowa, ale gołąbki. To prawdziwe delicje! Widać tu polską rękę! Nie uwierzę, aby przyrządzili je austriaccy kucharze.

Między jedną kanapką a drugą członkowie Zespołu Pieśni i Tańca UMCS uświetniają spotkanie. Rektor prof. dr Wiesław Skrzydło też dołącza do chóru. Gdyby go ubrać w ludowy strój, niczym by się nie wyróżniał. Ten człowiek chyba nie ma czasu się zestarzeć. (Przypomina mi się anegdota: do rektora przechadzającego się po korytarzu uczelni podchodzi student i mówi: „kolego, z czego was stary pytał?" Oczywiście z powyższego nie wynika, że studenci nie znają swego rektora! Każdy ma jednak prawo się pomylić, nie tylko na egzaminie...)

Zespół UMCS jest w Wiedniu niejako po drodze: z Austrii jedzie do RFN i Francji, to jego 52 wciąż zagraniczny. Sprawozdawca „Kuriera Lubelskiego", towarzyszący zespołowi, przekaże relacje z pierwszej ręki. Przy okazji i dziennikarze lubelscy zwiedzą kawałek świata, co potem zaowocuje na łamach i w czasie spotkań w klubach „Ruchu".

Wszystko, co przyjemne, musi się jednak skończyć. Inż. Antoni J. Tyl („Erster Botschaftssekretar fuer Wissenschaft und Technik" — cytuje wg wizytówki, unikając „umlautów") odwozi mnie do hotelu, bo kierowca wojewody jest dość bezradny. Wcale mu się nie dziwię — tutaj za kółkiem też nie czułbym się pewnie, zwłaszcza w godzinach szczytu. Nie chodzi zresztą o sam szczyt, ale o topografię miasta, a zwłaszcza o orientację w zawiłościach ulic. I w Wiedniu bywa, że z dnia na dzień zmienia się kierunki jazdy, nawet szofer taksówki klął: „Jeszcze wczoraj, patrz pan — mówił do mnie — tędy jechałem, a dziś (tu brzydkie słowo) postawili zakaz". Gdyby to było w Warszawie, mógłbym sądzić, że ktoś mnie bierze pod bajer i chce wykręcić więcej kilometrów. Taksówkarza wiedeńskiego o to nie posądzam, bo był najwyraźniej zły, a potem, przy płaceniu rachunku (słuchajcie, słuchajcie!), chciał mi oddać dziesięć szylingów. Szarpnąłem się, wyraziłem sprzeciw, nie oponował... Szkoda.

Bal polski zaczyna się wieczorem. Mam kilka godzin czasu. Wpadam do kawiarni i sącząc znakomity napój oglądam ostatni numer „Österreich-Polen" czyli „Austria-Polska", czasopisma poświęconego gospodarce i kulturze, wydawanego przez Austriacko-Polskie Towarzystwo. Ten numer zawiera wiele artykułów, nad którymi widnieją znajome nazwiska. Cytuję ze spisu rzeczy: „Dypl. inż. Władysław Kruk, Przewodniczący Wojewódzkiej Rady Narodowej w Lublinie — Region lubelski — wczoraj, dzisiaj, jutro. Mgr Mieczysław Stępień, Wojewoda Lubelski — Region ambitnych ludzi. Mgr Stanisław Bora, Prezydent Miasta Lublina — Miasto prezentuje się. Mgr Marek Zdrojewski — Ludowy Zespół Taneczny „Lublinianey". Prof. dr Wiesław Skrzydło — Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie".

Jeżeli do tego dodamy nasz numer „Kameny" w języku niemieckim, otrzymamy prawdziwą lawinę informacji na temat Lublina i Lubelszczyzny. Wiedeńczycy, którzy zapoznają się z tymi artykułami będą chyba mieć jakieś pojęcie o naszych problemach.

Ale i czytelnik polski z zainteresowaniem przegląda np. zamieszczoną w tymże numerze listę nowo wybranego zarządu Austriacko-Polskiego Towarzystwa. Są tu ludzie piastujący różne stanowiska, ludzie różnych zawodów. Przykładowo: dr Christian Broda, minister sprawiedliwości, dr Thomas Chorherr, redaktor naczelny dziennika „Die Presse", Hans Hanauska, kupiec, wiceprezydent Austriackiego Komitetu Olimpijskiego, dr Bruno Kepnik, generalny dyrektor austriackich kolei, prof. Jacek Łukaszczyk, pianista, prof. Oskar Jan Tauschinski, pisarz, Franz Hillinger, burmistrz Linzu, dr Helmut Haschek, generalny dyrektor austriackiego „Kontrollbank A. G." Mamy więc wielu przyjaciół w Austrii!

I tak sobie myślę popijając kawę, że warto by teraz uczynić wszystko, aby Dni Lublina nie były tylko jednorazową imprezą. Lublin ma kontakty z Brześciem, Debreczynem, z Jassami i z Modeną, ostatnio nawiązał też z Bochum. Oczywiście różnie się one rozwijają, ale to jest temat osobny. Nie próbowaliśmy jednak dotychczas, jeśli się nie mylę, poszukać sobie partnera w Austrii. Przy pomocy ambasady polskiej można by nawiązać kontakt z którymś z miast tego kraju. Pociąg z Warszawy do Wiednia idzie bodaj krócej niż z Warszawy do Świnoujścia, a samolot już na pewno szybciej ląduje w Wiedniu niż w Szczecinie.

Prasa może, oczywiście, pomagać, ale nawiązywanie kontaktów to inny szczebel. Jeszcze raz jednak podkreślam: nie marnujmy kapitału... wzajemnej sympatii!

Ale czas na bal. Uprzednio obejrzałem program — wszystko dokładnie ustalone, tu nie ma miejsca na żadną improwizację. Tak więc o godz. 19-tej spotykają się w foyer wszyscy odpowiedzialni za zabawę, o 19.30 — próby techniczne, światło, akustyka, o 20-tej — otwarcie sali, o 20.45 — ostatnie próby techniczne, orkiestra zajmuje miejsca, o 21-ej tusz!

Wszystko odbywa się zgodnie z planem. Gospodarze obdarowali gości lubelskich kartami wstępu (150 szylingów, czyli prawie 10 dolarów od osoby) i wyznaczyli im miejsca przy stolikach. Oficjalne przemówienia, z naszej strony zabiera głos wojewoda Mieczysław Stępień.

Kelnerzy już się kręcą przy stolikach. Od nas, to znaczy ode mnie i Marka Zdrojewskiego, niewiele zarobią: najtańsza butelka wina — ok. 12 dolarów.

Obok kuchni miejscowej jest i nasza, lubelska, z „Unii". Kazimierz Hajkowski dzisiaj nie kieruje, ale tyra. W białym fartuchu i białym czepku trudno poznać eleganckiego zwykle szefa. Ceny unijne są dostosowane do miejscowych, toteż barszcz czerwony z pasztecikiem kosztuje tu 3 (słownie trzy) dolary (dokładnie 50 szylingów), a bigos lubelski ponad dwa razy tyle. Szkoda, że dyrektor Moskaluk nie widzi, jaką furorę robi tu jego kuchnia!

Ale nie tylko kuchnia święci triumfy. Zespół Pieśni i Tańca UMCS nie ma wypoczynku. Nie bawia się, ale bawią innych muzycy z Filharmonii Lubelskiej. Jakiż mają znakomity repertuar!

Stroje? Królują długie suknie w różnych kolorach, o szczegóły pytajcie żony oficjalnych gości z Lublina. Panowie przeważnie w ciemnych smokingach. Sala historycznego hotelu Schoenbrunn zobowiązuje.

Panie — W. Maxymowicz, W. Nettel i inne uwijają się, bo jak najszybciej chcą sprzedać (po 20 szylingów) losy na loterię. Fanty przywieziono z Lublina. Jest taki przepis — jeśli nie sprzeda się wszystkich, nie można rozpocząć losowania. Urzędnik pilnuje zresztą skrzętnie, bo chodzi o podatki. Oczywiście honorarium za to pilnowanie płacą organizatorzy balu. Kontrola kart wstępu (również z uwagi na podatki) jest też bardzo ścisła. Ba — ochrona policyjna (skromna bo skromna), ale na każdym balu potrzebna — bynajmniej nie za „Bóg zapłać". My, w Polsce, jesteśmy już na innym etapie!

Z piątku robi się sobota, krótki sen. Pożegnalny obiad funduje Austriacko-Polskie Towarzystwo. Adieu, Wien!

Zostaję jeszcze w tym mieście na niedzielę. Pani Wiesława Nettel, była lublinianka, o której wspominałem w poprzednim odcinku, a której matka i siostra mieszkają w Lublinie, na tym samym osiedlu co i ja, obwozi mnie swą „cytrynką" po Wiedniu. „Musi pan przecież zobaczyć Kahlenberg, Grinzing..." Korzystam z przyjemnością.

Kahlenberg będzie jednak później. Na razie zwiedzamy katedrę św. Stefana. Stale rozbudowywana, zwłaszcza w XV i XVI wieku, nieco zniszczona podczas pożaru w kwietniu 1945 r., w trakcie walk o Wiedeń. O jej rozmiarach świadczą liczby: długość — 107,20 m, szerokość — 38,90 m, wysokość — 28 m. W 1945 r. ogień pochłonął drewniane sklepienia zrobione z 2000 pni modrzewi. Zastąpiono je sklepieniami ze stali. Wieża (137 m!) ocalała, ale spłonęły stuletnie rusztowania podtrzymujące

Okładka czasopisma Österreich — Polen wydawanego w Wiedniu. Z okazji Dni Lublina w Wiedniu do barwnego zdjęcia Andrzeja Polakowskiego pozują członkowie Zespołu Tańca Ludowego UMCS w strojach lubelskich

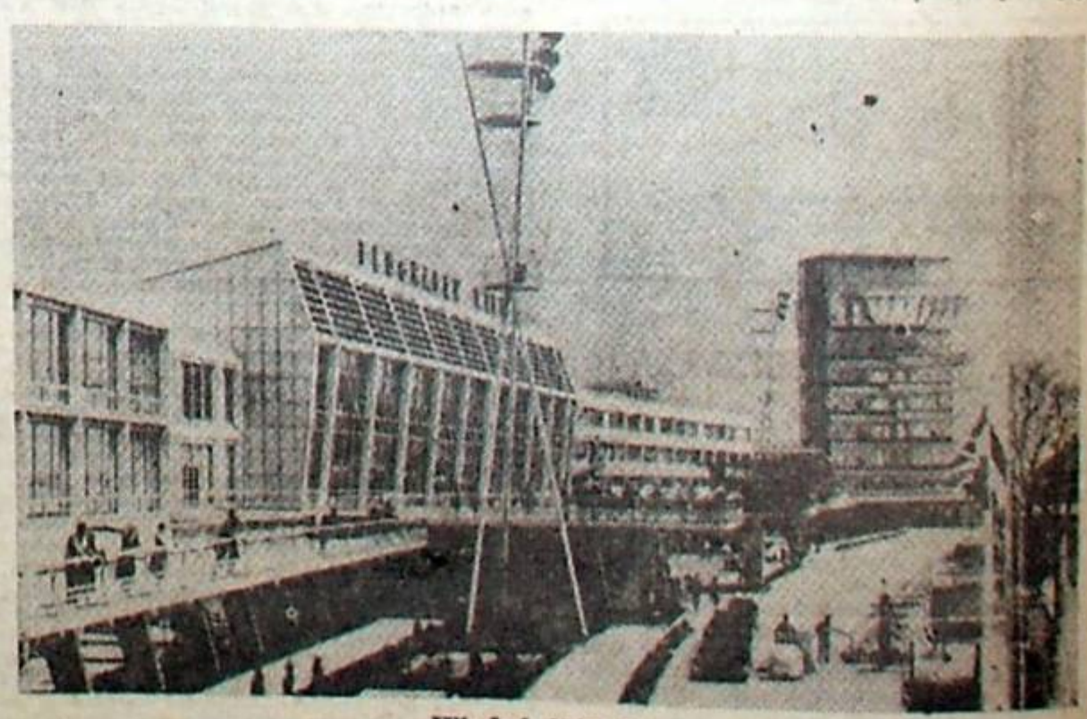

Wiedeń, lotnisko

dzwon. Ten runął i pękł. Miał on swoją historię: w 1711 r. odlano go ze 180 armat zdobytych na Turkach w 1683 roku. Do nowego dzwonu użyto złom ze starego a ponadto poszczególne kraje związkowe służyły pomocą, przesyłając odpowiednie materiały. Odbudowa katedry była zresztą dziełem całego kraju, ofiary napływały również z zagranicy.

Jest tu co oglądać! Wnętrze katedry kryje w sobie bezcenne skarby, wśród nich Madonnę Służących z 1320 r. Przez wieki pomoce domowe — jak to się dzisiaj mówi — zapalały tutaj świeczki, by szybciej wyjść za mąż. Świeczki palą się i teraz, ale we współczesnym Wiedniu znalezienie „służącej" to senne marzenie. Ołtarz Nowomiejski (1447), sarkofag z marmurowym pomnikiem cesarza Fryderyka III, ambona z 1515 r... — wszystko to dzieła sztuki, dzieła kultury ogólnoludzkiej.

Z jednej z wież (jest winda, oczywiście płatna) oglądam panoramę Wiednia. Dzień chłodny, chociaż słoneczny i niestety mglisty. Jakże piękny musi stąd rozciągać się widok w pełni lata!

Jeszcze krótka wędrówka po Starym Mieście. Niektóre domy kupili co lepiej sytuowani, głównie artyści, płacąc bajońskie sumy. A ile kosztowało przystosowanie starych mieszkań do współczesnych warunków! Jednak wiele tu jest jeszcze do zrobienia.

Sterngasse. Dom nr 3. Na fasadzie kamienna kula ważąca 69 funtów. Napis informuje, że to pozostałość po Turkach, którzy tę kulę wystrzelili z Leopoldstadt.

„Stoss im Himmel". Der Stoss — to po niemiecku pchnięcie, uderzenie. Der Himmel — niebo. Nazwa ulicy wcale jednak nie oznacza „uderzenia w niebo". Po prostu mieszkała tu kiedyś wdowa, przybyła z Czech, Józefa, Cornelia Stosanhimi. Od jej nazwiska powstała właśnie nazwa ulicy. Ciekawostka.

Przez Grinzing jedziemy na wzgórze Kahlenberg (483 m), należące do Alp Wiedeńskich. Tu, na Kahlenbergu, spędził Sobieski noc na 12 września 1683 roku. A później stoczył bitwę, którą znamy z historii. Europa chrześcijańska została uratowana. A co po stu latach ta uratowana chrześcijańska Europa zrobiła z Polską, przypomnieć byłoby w tym notatniku raczej nietaktownie.

Dziś na wzgórzu stoi kościół odbudowany na miejscu dawnego, zniszczonego. Dla przybyszów z Polski chyba najciekawsza jest zakrystia kościoła i kaplica Sobieskiego.

W zakrystii w oszklonej gablocie znajduje się szabla Sobieskiego, którą polskiemu królowi podarowano po zwycięstwie. Na pochwie szabli — wizerunki hetmanów Czarnieckiego, Żółkiewskiego i Zamoyskiego. Na szabli m.in. jest wyryty Orzeł Polski oraz portret Sobieskiego z napisem (po łacinie): „Prawica Jana zwyciężyła pod Wiedniem w Roku Pańskim 1683".

Trzy ściany kaplicy przyozdabiają obrazy, a czwartą, przy oknie, a także sufit — herby rycerstwa polskiego. Tych herbów jest 102.

Goście z Lublina przywieźli prezent — ludową szopkę z drewna. Na razie stoi i budzi wcale nie mniejsze zainteresowanie zwiedzających niż zgromadzone eksponaty.

Kościołem opiekuje się ksiądz z Polski, który jest tutaj od 12 lat. „Ostatnio — mówi — już goszczę drugiego wojewodę z kraju". Śmieje się, że pozostało jeszcze 47!

Krętą drogą wzdłuż Lasu Wiedeńskiego zjeżdżamy na Grinzing. Pusto tu teraz jak na Praterze. Ale jakże nie wypić wina! To wino własnej roboty — wokół ciągnął się winorośla. Pozostał stary przywilej — chłopi, uprawiający winorośl w podwiedeńskich wsiach mieli prawo wyszynku młodego wina. Dziś chłopi stali się mieszczuchami, bo Grinzing stanowi część Wiednia, który zajmuje ponad 400 km kwadratowych. A to wino piję nie byle gdzie! W domu Beethovena (Pfarrplatz). Ale Beethoven często zmieniał w Wiedniu miejsca pobytu!

Poniedziałek, godz. 8 rano i ja wyjeżdżam z Wiednia. Kierunek — Bratysława. Autobusem będę na miejscu za dwie godziny.

Na granicy piję znakomite piwo słowackie. Butelka — 4 korony. Po Wiedniu co za taniocha!

Wiersze młodych

Anna Borkowska

* * *

Co rano rozglądam się
za słońcem i tylko skurcz
wyzwala strunę bólu.
Dźwięczy strach, że już majaki
rosną.
idę przez wyludnione miasto
sama. Domy rzucają piłką
mojego ciała. Od mieszkania
do mieszkania.
Pusto.
Pokutnica zaplątana w sieci ulic.
Bezdomna przy tylu otwartych
drzwiach.
Jeszcze chwilę poczekam na siebie

* * *

widzisz
nie mam komu dać swojego słowa
okrywam się milczeniem jak
płaszczem
nie chroni mnie przed zimnem
ludzkich spojrzeń
ani przed deszczem ludzkiej
dociekliwości
zmuszam się codziennie
do oglądania pustych twarzy
tych kamieni nagrobnych coraz
więcej we mnie
widzisz
nie mam komu dać mojego słowa
tylko wiersze rosną skarłowaciałe

Jerzy Krzysztof Misiec

* * *

i moja o tobie myśl niegramatyczna
dławi się słowem najczulszym
kpi sobie ze składni
której nie dość dwóch słów
w tym świetle jesteś obca
milczysz
a dobrze wiesz
ta łza jest naszą łzą
co zastępuje nasze milczenie
ta kropla potu
jest potu naszego ogniem
wyjdźmy z tej katedry
chwila miłości
nie jest miarą wszechświata
ze słów najbardziej wymyślnych
zostaw słowo

* * *

a więc to ja
jestem właścicielem języka tej poezji
która do ciebie nie dotarła
mam głos któremu przypisujesz
odświętność egoizmu
i rozkosz cierpienia
jeszcze nie słyszałaś słów
którym ja przypiąłem wartość
to w moim sposobie mówienia
poszukujesz azylu dla prawdy
jakbyś nie wierzyła
w istnienie ciemności
a więc to ja
jestem
byłem
a ty chcesz mnie odnaleść
jakby pomostów nie było
stoisz bezradna ze strzępem
włosów topielca któremu
przyglądasz się w twarzy jeziora.

MAMO MÓJ SYN SIĘ NIE URODZIŁ

na plantacji drzew ściętych
przed zakwitnięciem pąków
kobiety nabrzmiałe miłością
obnoszą relikwie swojego oblicza

twarda konstrukcja drzewa rodowego
próchnieje mimo silnych westchnień
matek o piersiach naiwnych
jak wschodzące słońce

w ich ciałach przewraca się
embrion wspólnego lustra
bezkształtne odbicie ślepe
jak jego pierwowzór

ale ty wiesz
igły świateł nikogo nie zgładziły
nikt nie umarł od zawału światła
skalpel i mózg są kresem wszystkiego

granat ciemności dojrzewa
w naszych niebieskich sercach
— partytura zamknięta snem
o szóstej trzydzieści

i jeszcze sens wieczny
i nikt nie narodzony.

Gdzie ten kur?

Dokończenie ze str. 1

przez nowoczesność? Więc jak ustalić ów próg? Jeśli z uwagą dla treści łatwo przyswajalnych — krzykną, że wsteczniotwo, zaścianek, Ciemnogród. Z preferencją dla „eksperymentu" — laboratoryjność, formalizm, odhumanizowanie. Oryginalne wyznanie liryczne — solipsyzm, niesprawdzalność. Wspólny mianownik emocjonalny — sztampa.

Oczywiście nie moje zmartwienie. Niczyje. Nie powstanie komisja, której zadaniem będzie opracowanie Raportu w sprawie poezji. Tyle tylko, że czytelnik jest przy tym wszystkim mocno zdezorientowany i już całej sytuacji ma trochę powyżej nosa. W rezultacie współczesna poezja to coś, co się pisze, ale czego się nie czyta. Nie czyta w sensie właściwym: by się zaznajomić ze zjawiskiem artystycznym. Jeśli, to z innych powodów. Jakich? Czytelnik przychodzi do księgarni i w jej gablocie widzi wyłożoną nowość: okładki graficznie atakujące, wydawnictwo nobliwe, czasem notka reklamowa, czasem opaska prezentująca V nagrodę na Konkursie Fioletowego Agrestu. Kupić? Nie kupić? Ostatecznie nie zaszkodzi, będzie czym zabrylować w przerwie dyskoteki. W ten sposób znikają z półek pozycje poetyckie. W ten sposób poezja idzie w Polskę.

A więc z jednej strony trudność przedarcia się przez redakcje i wydawnictwa, które stosują gęste sita (o osobliwej konstrukcji, bo jest nią nie cenzus wartości, lecz potrzeba wyjścia z sytuacji wobec nadmiaru tekstów), z drugiej — niby — zainteresowanie czytelników kupujących na wszelki wypadek. I, o dziwo, nie jest to stan rzeczy zniechęcający piszących. Piszą. Czyżby każdy z nich miał przekonanie, że zaserwował nowego „Promethidiona", więc ze względu na doniosłość zjawiska należy nieprzychylne okoliczności cierpliwie przeczekać, a prawda w końcu zwycięży? Nie posądzam ich o megalomanię, powód jest inny.

Jaki? Potrzeba spełnienia, chęć zaakcentowania swojej obecności w szybko przesuwającym się pasmie życia. Całkiem słusznie. Tylko niech mi wytłumaczy Symplicjusz Drapak czym wyeksponował swoją indywidualność, skoro jego wiersze są niemal identyczne z wierszami Wita Czmychałowskiego? Poeci marzą o własnym stylu. I każdy wtapia się w uprawianą przez wszystkich identyczność. Niegdysiejszej katarynce naurągano ze strony różnych nowinkarzy, odkrywców, buntowników. Ale za każdym razem było wiadomo kto tę katarynkę kręci. Dziś „oryginalność" polega na przykrojeniu formatu wiersza, by tak samo łatwo jak inne wchodził w ramki epidiaskopu. Ma się wrażenie, że współcześni poeci urządzili sobie jakiś pienier przed hasłem „Zbiorowy plagiat".

Ściągają? Gorzej. Gdyby jakiś zwrocik, metaforkę, z czego łatwo się rozgrzeszyć, choćby męskim przyznaniem się do chwilowego zauroczenia. Ale deklamują o potrzebie nowości, a pilnie przestrzegają linii wyrównanej jak na defiladzie. Nie złamać szeregu, marsz w ordynku. Osobliwe, że tego ordynku nikt nie narzuca. To ciąży poetycki konwenans tak bezwzględny, jak kiedyś konwenans towarzyski, nakazujący trzymanie łokci zwartych przy tułowiu w czasie jedzenia.

Nie będę biadolił, że w ten sposób jestem zubożony w lekturze, że z powodzeniem mogę sobie przeczytać co setny wiersz, by nie tylko być zorientowanym w bieżącej produkcji poetyckiej, ale bez futurologii przewidzieć ją na najbliższe pokolenie następne. Nie moja sprawa. Dziwi mnie tylko, że satysfakcjonuje to samych piszących. „Ja liryczne". Gdzie się ono podziało? Czy może ustąpiło miejsca jakiemuś „lirycznemu my"? Ambicją poety jest być jeszcze jednym. Dostaję do ręki utwór, o którym mnie zapewniają, że nowy, świeży, ciekawy. Czytam i widzę, że takich nowych, świeżych i ciekawych przeczytałem już kopę i mendel. Świeżych i ciekawych w ten sam sposób. Nie lubię Przybosia i jeśli przychodzi mi go zacytować, to zawsze czynię to z przykrością, ale nie chcę tym razem stawać na swoim tradycjonalistycznym gruncie, bo nie chodzi mi o przeciwstawienie poetyk lecz osiągnięć. Więc proszę, Przyboś, do dziś przecież awangardzista i eksplorator: „Łodygi lamp wyjmowane z cementu tak lekko, jak wiatr z fałdów sukni". Pamiętam to od czterdziestu lat. Co z przeczytanego dziś przypomnę sobie za dwa tygodnie?

Nie chodzi mi wcale o podgryzanie sztuczną szczęką korzeni dzisiejszego wierszopisarstwa, jak by łatwo było mnie o to posądzić. Powiem nawet, że współczuję obecnie piszącym. Z pewnością niejeden chciałby dać coś interesującego. Któż więc ustalił ów chocholi krąg, za który nie ma wyjścia? I gdzie ten kur, który niechby zapiał, tylko zapiał, nawet bez widoków obudzenia towarzystwa, jak to rzeczywiście jest w „Weselu"? Jeśli chodzi o mnie, kogut by mi już wystarczył.

Rzecz osobliwa. Młody człowiek pali się chęcią powiedzenia czegoś od siebie, a post factum okazuje się, że powielił schemat. Gdzie przyczyna? W chęci uniknięcia schematu. Antyschematystów jest tylu, że tworzą całkiem regularną gminę. Pragnienie oryginalności drogą rozluźnienia rygorów stało się znów kanonem. Wszystko w ucieczce przed dawnym, przed wyeksploatowanym, przed już powiedzianym. Zgoda. Ale jeśli ucieczka prowadzi na ślepy mur? To co? To chyba wypadnie przyznać, że koniec poezji. Finis carminarum.

Tak już zostało kiedyś powiedziane. Przez Różewicza. Tylko Różewicz — za co mu wypomniano brak konsekwencji — pisał dalej. Nie chodzi o to. Mógł pisać, mógł nie pisać. Jego prywatny interes. Chodzi o to, że wyraźnie została postawiona sprawa wybrakowania pokarmu, wyschnięcia źródła. Bo coś takiego rzeczywiście istnieje. Kiedy czytelnik na wydziwianie autora robi okrągłe oczy, ten argumentuje, że nie sposób prolongować metod i praktyk należących do czasu historycznie zamkniętego. Ale jeśli przy odejściu od tych metod i praktyk gubi się możność porozumienia, czy nie znaczy to, że skończyła się poezja? Przeszłość obarcza powtórką, przyszłość wytrąca możliwość społecznego funkcjonowania. Scylla i Charybda. Nie na miejsca.

Czyli młody człowiek chce się utrwalić w czymś, czego nie ma. Niechby przynajmniej robił to na swój własny sposób. Oryginalne nawet mogłoby być to podpisywanie się na wodzie. Tymczasem robi to samo, co jego kolega z Warszawy, Białegostoku, Iłży. I dziwi się, że pozostaje anonimem. Wobec tego wzmaga produkcję. Reprodukcję. Potomstwo słonia wynosi jeden egzemplarz, komara idzie w tysiące. Eskalacja ilości i eskalacja anonimowości. Mimo nazwisk w czasopismach współczesną poezję tworzy wieloosobowy NIKT.

Zygmunt Mikulski

POLONIJNE SPOTKANIA W RFN (III)

W drodze do opery

Ireneusz J. Kamiński

JADĘ do Düsseldorfu, aby spotkać się z Andrzejem Saciukiem, solistą tamtejszej opery, która obok nowojorskiej, londyńskiej, mediolańskiej i hamburskiej należy do czołowych w świecie. Z naszym basem skontaktowała mnie pani Gertruda Leydy; średniego wzrostu blondynka, kobieta rzeczowa, a przy tym uzdolniona organizacyjnie i wokalnie, przez czternaście minionych lat, dzielących ją od emerytury, pracowała w bankowości, obecnie zaś pełni funkcje wiceprezesa gromady Düsseldorf (około 320 członków) i kierowniczki chóru „Polonia", który istnieje od 1898 roku i śpiewa dziś pod kierunkiem Franciszka Lengowskiego. Metryka tego chóru to nie wyjątek, większość polonijnych zespołów artystycznych powstała albo przy końcu minionego, albo na początku obecnego stulecia, co zresztą z niezasłanianą satysfakcją podkreśla Antoni Knizik, wiceprezes Zarządu Głównego „Zgody" do spraw muzyki i tańców. Knizik oddaje się swojej pracy jakby ponad normę, bo ostatecznie: czy do jego obowiązków należy holowanie z nocnej trasy kilkudziesięciu (!) członków poznańskiego chóru i goszczenie ich, ofiar autokarowej niesprawności, we własnym domu w Oberhausen zaopatrzonym zresztą i na szczęście w efektowny bar ze stylkami, urządzony w piwnicy?! Takie obowiązki na pewno nie wchodzą w zakres czynności służbowych wiceprezesa, choć można oczywiście zapytać, czy istnieją sztywne granice działalności społecznej. Poza tym można też zapytać, co ma robić w takiej sytuacji syn jednego z czołowych przed wojną działaczy polonijnych, dla którego pamięć i wierność ojcu jest rzeczą, bez przesady, świętą?!

Panią Gertrudę Leydy poznałem kilka dni wcześniej i jej właśnie oraz państwu Cecylii i Franciszkowi Krawczykom zawdzięczam wycieczkę turystyczną po Düsseldorfie, mieście liczącym około miliona mieszkańców i będącym stolicą Nadrenii — Westfalii. Rodzice tego małżeństwa przyjechali do Niemiec na początku naszego wieku i od razu zapisali się do towarzystw polonijnych: św. Rocha, św. Wojciecha, „Sokoła"... W chórze „Polonia" pani Cecylia zaczęła śpiewać pół stulecia temu, w wieku trzynastu lat, a więc nielegalnie, jako że do występów dopuszczano wówczas młodzież po szesnastym roku życia. Dzięki cichemu wsparciu ówczesnego prezesa chóru, Michała Kowalczyka, oraz drobnym zabiegom fryzjerskim pani Cecylia znalazła się przecież na scenie, której do dziś nie opuściła. Jej mąż również może pochwalić się takim stażem wokalnym, znacznie przewyższającym kilkudziesięcioletni okres jego pracy zawodowej — w browarze. Pan Franciszek zna się na piwie, to nie ulega wątpliwości, ale również na teatrze, jako że małżeństwo regularnie odwiedza Düsseldorfer Schauspielhaus, zaopatrzone w roczny abonament, umożliwiający obejrzenie ośmiu spektakli po 8—9 marek sztuka, podczas gdy cena normalnego biletu kształtuje się w granicach 7—24 marek. Abonament to pewność i obniżka kosztów własnych, a poza tym abonament w rękach byłego pracownika browaru to powód do ogólniejszej refleksji.

Co można zobaczyć w Düsseldorfie, informują przewodniki turystyczne. Osobiście chciałbym tylko zwrócić uwagę na to, co uznali za stosowne pokazać mi Polacy od dawna związani z tym miastem. A zatem:

Kolumnę z zegarem w centrum, którą przed rozbiórką uchroniły masowe protesty obywateli, w tym właśnie miejscu od lat wyznaczających sobie spotkania.

Odbudowane od fundamentów, pieczołowicie zrekonstruowane Stare Miasto, w którym roi się od piwiarni, drogich restauracji i jeszcze droższych sklepów. „To nie dla nas, tu przychodzimy tylko popatrzeć".

Ruchomą figurkę krawca Wibbela, która w rytmie muzyki wyskakuje co kilka godzin z elewacji jednego z budynków, gromadząc na tę okazję licznych turystów, zastanawiających się przy okazji, czy wstąpić do tej pobliskiej restauracji reklamowanej wielkim akwarium z karpiami jak byki.

Most wiszący nad brudnym i dość wąskim Renem, który przerzucono przez rzekę dwa lata temu, a następnie w ciągu dwóch dni przesunięto o 30 metrów. „W Warszawie na Woli też przesunięto — kościół".

Überkassel, czyli dzielnicę bogaczy. „W Düsseldorfie mieszka 44 milionerów, tutaj w ogóle ludzie zarabiają najlepiej w RFN."

Rozległy port lotniczy, a w nim jedno z pomieszczeń, w którym odbywała się właśnie odprawa pasażerów lecących do Dubrownika. „To chyba Jugosłowianie, albo Turcy, a może Włosi, na pewno południowcy."

Rozległy Park Północy, do którego prowadzą wielkie rzeźby z jeźdźcami wtopionymi w cielska rumaków, postawione tutaj w 1929 roku, a jako żywo przypominające sztukę niemiecką lat trzydziestych: monumentalną, rzucającą tłumy na kolana i sławiącą wielkość Wodza.

Poza tym pokazano mi stadion, upamiętniony finałem lekkoatletycznego Pucharu Świata i związany przestrzennie z geometrycznymi obiektami międzynarodowych targów, oraz, kiedy już zmierzaliśmy do restauracji, w której straż pożarna urządza wielkie bale — niewielką płaskorzeźbioną tablicę, przedstawiającą jegomościa w trakcie defekacji dukatami. Pod wdzięcznym wizerunkiem widniał napis tej treści: „Taka baśń nigdy nie będzie rzeczywistością, życie uczy, aby pracować i oszczędzać".

W trakcie spożywania trzech ogromnych golonek, polewanych „Schlosser Alt", dowiedziałem się, że w tejże restauracji — „mieszczańskiej", jak określiła pani Leydy — podawano niegdyś jeszcze większe porcje jadła, o objętości przekraczającej możliwości trawienne nawet Bawarczyka. Podawano celowo, dołączając do posiłku specjalne torebki, w które można było zabrać do domu resztki nie skonsumowanego kotleta. Po tej informacji jedna z pań zapytała mnie, czy nie mam ochoty na kawałek jej golonki, albowiem ona już nie może, a szkoda przecież oddawać do kuchni taki piękny i czysty kawał mięsa. I wtedy właśnie przyszło mi na myśl, że w Republice Federalnej Niemiec jest tak czysto na ulicach, ponieważ tutaj nic nie ma prawa zmarnować się! A o tym, że dewiza „oszczędnością i pracą ludzie się bogacą" obowiązuje w RFN wszystkie pokolenia, przekonałem się zaraz potem, kiedy to do naszego stolika podbiegł jakiś chłopiec, może ośmioletni, i zaproponował wywinięcie tzw. gwiazdy św. Marcina, akrobacji związanej z miejscowym obyczajem, jeśli otrzyma honorarium w wysokości 2 fenigów. Nie dostał, więc wrócił — do rodziców siedzących w pobliżu i z uśmiechem obserwujących manifestację zmysłu handlowego swej dzieciny.

Oczywiście, na podstawie takich drobiazgów absurdem byłoby konstruowanie jakichś uogólnień, dotyczących paradygmatu społeczno-ekonomicznego obywateli RFN. Byłoby, gdyby nie daleko poważniejsze fakty, dostrzeżone w tych rewirach. Dajmy jednak spokój tej kwestii, tym bardziej, że ostatecznie nie zjadłem tego kawałka oferowanej golonki: dużego i czystego!

Na własną już rękę zwiedzając Düsseldorf dostrzegłem m. in. liczne afisze ze swastykami, policję z bronią gotową do strzału przed ważniejszymi budynkami użyteczności publicznej oraz kompletny brak zainteresowania procesem oprawców z Majdanka, których broni taki Hermann Stolting prokurator hitlerowski w Bydgoszczy, autor wielu wyroków śmierci wydawanych na Polaków z byle powodu, a po latach — prezes Niemieckiego Związku Ochrony Zwierząt...

Jadę do Düsseldorfu, aby spotkać się z Andrzejem Saciukiem, który od 1972 roku stale przebywa za granicą, a nie tak dawno temu występował razem z Renatą Tebaldi w nowojorskiej Metropolitan Opera. Wiem ponadto, że Saciuk często odwiedza Polskę, tu także dając koncerty. No i wiem jeszcze jedno: że niegdyś pisaliśmy w „Kamenie" o artyście, w okresie, kiedy współpracował on z Filharmonią Kielecką. Mam się zatem spotkać z kimś właściwie znajomym, z którym nigdy nie udało mi się porozmawiać. To może być ciekawe, tym bardziej, że pozycja Saciuka w życiu muzycznym RFN zdaje się być wysoka, o czym świadczą choćby dwie recenzje z fachowych czasopism, udostępnione mi przez znajomych Polaków, mieszkających w Düsseldorfie. Oto ich fragmenty:

„... w postać i interpretację Borysa (Godunowa — uw. aut.) wnosi Saciuk wspaniały wyraz wokalny, ludzką tragedię i wielkość. Jednocześnie posiada odwagę, aby w scenach obłędu i śmierci odejść od linii wokalnej i tym samym podkreślić wybuchy połamanej natury Borysa. Partia ta jest jakby napisana dla Saciuka, tu inwestuje on najpełniej swój artystyczny kapitał i jest prawdziwym „śpiewającym aktorem".

Tyle „Opernwelt" z października 1977 roku. Wtóruje mu tonacją „Orpheus" z tegoż roku, który z okazji przedstawienia „Hugenotów" stwierdził:

„Laur pierwszeństwa należy do Andrzeja Saciuka w roli Marcela. Jego „czarny" bas nabył niezrównanej miękkości, nie tracąc na potędze brzmienia".

W innych recenzjach bardzo często powtarza się określenie: „polski bas", „polski artysta", „Polak", co wydaje się o tyle intrygujące, że Saciuk już w 1962 roku pojawił się na scenach zagranicznych, występując w każdym sezonie, a od sześciu lat — jak wspomniałem — stale przebywa poza krajem.

Z dworca kolejowego Düsseldorf do opery jest stosunkowo niedaleko, jakieś 20 minut dobrego marszu. Znam już trochę miasto, więc decyduję się na samodzielny spacer, no i trafiam przed spory budynek o rzeźbie nieokreślonym stylu. Na pobliskim stawie pływają czarne łabędzie, aplikując swoje wodne odbicia na takimż wizerunku ogromnego biurowca Thyssena; zaraz za teatrem widnieje „Hotel pod Operą"; niedaleko wypina się dom towarowy firmy Kaufhof, z przyczepionymi do głównego korpusu, lecz zręcznie zamaskowanymi piętrami garaży. Jestem zatem w typowej przestrzeni niemieckiej, oferującej: miejsce do spania, jedzenia, miłości, odpoczynku, mnożenia wartości materialnych i kulturalnych.

Portier opery wie już wszystko. „Pan Saciuk prosił o trochę cierpliwości, zaraz przyjdzie, niech pan wejdzie do tego korytarza, prowadzącego do garderoby, i poczeka".

Siadam przy stoliku, zapalam „klubowego". Co chwila mijają mnie różni ludzie: biali i żółci; czarnych nie spostrzegłem. Rozmawiają po niemiecku, angielsku, francusku, chyba po japońsku, także po czesku i węgiersku.

— O, „klubowe"! — słyszę nagle nad głową. Obok stolika uśmiecha się do mnie młody mężczyzna, czy ja wiem — na pewno przed czterdziestką.

Przedstawiam się szybko, taka okazja, i zapraszam do pogawędki. Okazuje się, że mam przyjemność z pianistą z Krakowa, który kilka miesięcy temu zaangażował się do opery jako akompaniator baletu. W kraju grywał w domach kultury, z zespołami studenckimi, na dłużej związał się ze „Słowiankami", uprawiającymi stosowne tańce folklorystyczne. No i kiedyś przyjechał z wizytą do RFN, gdzie jego żona już od dwóch lat za sprawą „Pagartu" śpiewa w operowym chórze w miejscowości odległej o 200 kilometrów od Düsseldorfu. Wtedy właśnie natknął się w prasie niemieckiej na anons, którym opera stolicy Nadrenii-Westfalii poszukiwała takiego kogoś. Uzyskawszy błogosławieństwo „Pagartu" podpisał angaż w Düsseldorfie, no i pracuje: po 7—8 godzin dziennie tłucze klawisze, za co otrzymuje 900 marek miesięcznie, czyli, jak na tutejsze stosunki, mało. Na samym początku miał jeszcze kłopoty z uzyskaniem mieszkania, bo wiadome obietnice macierzystej obecnie instytucji okazały się palcem na wodzie pisane. Zamieszkał u znajomej Polki z baletu, która tu już pięć lat tańczy, ale to była prowizorka. Chcąc znaleźć samodzielne mieszkanie, już o godzinie 24 biegał pod drukarnię po numer gazety, aby pierwszy dopaść ogłoszenia na temat „lokal do wynajęcia". W końcu znalazł, lecz sam nie zadzwonił pod wskazany numer, no nie, już taki naiwny nie był. Już wiedział, że Niemcy niechętnie wynajmują mieszkania obcokrajowcom, zatem skorzystał z pomocy owej znajomej Polki, dobrze znającej język. Tym sposobem wynajął klitkę bez kuchni i ciepłej wody, za którą płaci 150 marek miesięcznie... Nadal [illegible] się obco o życiu towarzyskim zapomniał, nawet na kurs języka niemieckiego nie może się zapisać z braku czasu. Raz na dwa miesiące jedzie wysłużonym volkswagenem do żony, a kupił ten samochodzik tylko dlatego, że pokonanie owych 200 kilometrów koleją kosztowało go każdorazowo 52 marki, czyli połowę więcej niż autem. Ze względów ekonomicznych sam też usiłuje piec sobie posiłki, jako że obiad w operowej kantynie, stosunkowo tani, kosztuje przecież 5—6 marek, a to trochę za dużo na jego kieszeń. Myśli jednak, że stanie na nogi, że wszystko jakoś się ułoży.

— Saciuk?! Oczywiście, znam, to przecież dobry solista. O, to właśnie on.

Józef Andrzej Grochowina

ZIMA

znowu zima
i lód cienki
— wypłynąłeś
i znów toniesz
chciałeś pomóc sobie ręką
lecz o szkło
kaleczysz dłonie

znów kolęda
i przeklęta
— to nie gwiazda
a skry zębów
śniegu wilka
jasne ślepia

znowu zima
wieczna zima
— jak tu z piersi
nagle wyjąć
serce

BALLADA O LOSIE

wiem chowa jeszcze litościwy Los
(ten stary szuler)
parę kart w zanadrzu
lecz przyjdzie taka noc
która wszystko odkryje
choć nie poprawi nawet krawatu
na mojej szyi —
będzie: bije zegar kur pieje
i tym podobne głupstwa
na wstrzymanym oddechu
mówię — już późno...
gdy wtem magnes księżyca wyciąga
z kamizelki mego Cienia
właśnie t e k a r t y

zapłaci za to
stary łotr!

tak wezmę tę parę groszy
w czarnym złocie pomazanym krwią
wyważę w dłoni:
po stronie nieba — przestrzeni mróz
po stronie ziemi — oddechu żar
pośrodku — ja — dlatego sam
— ruch dłoni
i między gwiazdy lichy grosz

ot i wszystko — taki Los

* * *

spada sekundy
tasak —

rozdwaja ranie
na było — będzie —

jeśli co jest — to tylko cięcie —
czerwony ból

na wysokości
nowego ciosu —

Kamena str. 4

EGZAMIN POWSZECHNY

Maria Bechczyc-Rudnicka

„EGZAMIN" Jana Pawła Gawlika należy do kategorii sztuk, o jakie od lat u nas się dopominano — współczesnych w literalnym słowa znaczeniu. Takich, gdzie akcja toczy się dzisiaj, gdzie problematy nurtujące człowieka, odkąd zaczął żyć w społeczeństwie, byłyby stawiane w konkretnych uwarunkowaniach teraźniejszości, bez owijania w misternie obrobioną formę.

Otóż poruszony przez Gawlika problem czujności sumienia oraz cywilnej odwagi jest niewątpliwie problemem podstawowym, gdy chodzi o określenie całokształtu naszego moralu. Mówi pisarz w programie do łódzkiego przedstawienia „Egzaminu": *Co dzieje się z nami, gdy doraźna korzyść, sprowadzająca się często do tak zwanego świętego spokoju, zderza się kłopotliwie z potrzebą opowiedzenia się po czyjejkolwiek stronie przynosząc w konsekwencji możność wejścia w niepotrzebny, a już co nie daj Boże, groźny konflikt. Dziś. U nas. Dla nas. Przez nas.*

Autor „Egzaminu" przedstawia taki konflikt z tym większą ostrością, że rozgrywa akcję w środowisku szkolnym. Wybrał to środowisko chyba nie bez kozery. Przypomnijmy sobie, że już Jan Jakub Rousseau uważał zawód nauczyciela za najważniejszy ze wszystkich zawodów, za rzecz najważniejszą w państwie — wychowanie społeczeństwa. Rousseau postulował otoczenie nauczycieli najtroskliwszą opieką państwową, stworzenie im warunków, w jakich mogliby wychowywać przyszłych obywateli świecąc im własnym przykładem.

Na czym polega zasadnicza treść sztuki Gawlika? Rzecz dzieje się w jednym z małych miasteczek Polski Ludowej. Liceum przeżywa kłopoty przedmaturalne. Chlebowska, młoda nauczycielka od polskiego opiera się naleganiom całego ciała pedagogicznego obstając przy dwójce, na którą oceniła ignorancję córki I Sekretarza.

Ale czy córka takiego towarzysza może być idiotką? — woła Dyrektor. — *Powiedzmy sobie prawdę w oczy. Szkoła nie jest niezależna. Sprawa kredytów — to przecież towarzysz Malawski. Jesteśmy tu sami swoi... Są pewne konieczności życia... Mariola jest zresztą bardzo inteligentną, bystrą dziewczyną... ona przechodzi okres buntu i przekory. Czuje się dorosłą, a my tu w szkole narzucamy jej rygory, do których w domu, widać, nie jest przyzwyczajona.*

Padają słowa: „alienacja", „frustracja", lecz owe argumenty nie trafią młodej nauczycielce do przekonania. Nie załamie się i pod brutalnym naciskiem Naczelnika Pstrąga (jakże zwinnie pływającego w wartkich nurtach współczesności). Zacytujmy z kolei znów autora sztuki. Podkreślając, że współczesność stawia nas często w sytuacjach ostatecznych, powiedział on w tymże programie łódzkim: *Motyw Antygony stał się w ten sposób uniwersalnym motywem naszej kultury, jednym z podstawowych archetypów rodzaju.*

Otóż w tym miejscu nasuwa mi się pewna obawa, sugerując w danym przypadku analogię do Antygony przywołujemy *eo ipso* cień Kreona, zaś Dyrektor Mazur bynajmniej Kreonem nie jest. Kreon bowiem popadł w konflikt z Antygoną potępiając ją w imię racji stanu, podczas gdy Dyrektor Mazur, lizus i asekurant, osłania pozorną troską o dobro szkoły swój strach przed utratą własnego stołka.

Gawlik sam zresztą określa gdzie indziej swoją sztukę jako dramat o oportunizmie i nadużywaniu imienia Partii. I jest to na pewno określenie najtrafniejsze, co nie wyklucza faktu, że u podłoża „Egzaminu" leży jednocześnie wspominany już wyżej problem wyboru między dobrem a złem — jak zresztą w każdej poważnej sztuce. A w końcu, jeśli mam być szczera: gdybym miała porównywać postawę Chlebowskiej z postawą Antygony, porównanie wypadłoby na korzyść naszej skromnej nauczycielki, albowiem walczy ona o niepodważalną prawdę obiektywną. Sofokles upoetyzował swoją bohaterkę. Mit Antygony wymagałby rewizji z dzisiejszego punktu widzenia. Sama nieustępliwość aż do śmierci nie jest jeszcze obiektywnym dobrem.

Ale nie wdawajmy się w dygresje. Zastanawiając się nad „Egzaminem" w dalszym ciągu „analitycznie", dostrzegam, że autor spotęgował zainteresowanie finałem pozostawiwszy widzom pewne momenty do rozszyfrowania. Osobiście, głowię się np. nad pytaniem, dlaczego Chlebowska zmienia jednak dwóję na dostateczne po rozmowie z wizytatorem, skoro powiedziała poprzednio Sekretarzowi, że niesłuszne dopuszczenie jego córki do matury, a następnie na wyższe studia, może stać się dla dziewczyny krzywdą rzeczywistą. Chlebowska przecie od początku jest przekonana, że postawienie dwói córze I Sekretarza, rozzuchwalonej wskutek braku odpowiedniej opieki domowej, nie jest „uderzeniem w Partię", jak to twierdzi asekurant Dyrektor Mazurkiewicz celem zastraszenia grona nauczycielskiego (doprawdy chciałoby się tu zawołać: „Mazurkiewicz, bój się Boga!"). A może zmiana nastąpiła jednak pod wpływem uroku niedygnitarskiej, ludzkiej postawy Sekretarza (oczywiście niezależnie od bukietu — bukiet przyszedł później)? Przecie ostatecznie wystarczało dla godnego zlikwidowania konfliktu — odejść ze zgangrenowanego środowiska, co też Krystyna uczyniła. Pytanie drugie: czy Sekretarz wysyłając Chlebowskiej bukiet chciał wyłącznie zaznaczyć solidarność z jej postawą, czy aby nie przemówił w nim nadal podświadomie ojciec, który nie traci nadziei (nie wie wszak, że Chlebowska dostała przed jego przyjściem dymisję). Czy nie nastąpiło tu więc niejako psychiczne sprzężenie zwrotne?

Jeżeli jestem na właściwym tropie, uważałabym te „fluidy" za zaletę sztuki — dodają jej nowy akcent humanizmu. Wyniosłam Chlebowską ponad Antygonę, ale tak z ręką na sercu powiem, że bohaterka J. P. Gawlika nie we wszystkim mi się podoba. Nie bardzo np. przypada mi do smaku jej upozowanie na Przełęckiego, kiedy mówi: „Takie są moje obyczaje". I jeszcze mniej pięknie brzmi w jej ustach wyznanie: „Nic mnie nie obchodzą oni. Obchodzi mnie tylko własna moja przyzwoitość". A fe, miła, młoda pryncypialistko! Co z twoim uspołecznieniem? Wszak w gronie sprowadzonym na manowce przez Dyrektora są ludzie, z którymi mogłaś znaleźć wspólny język — choćby Ekermanowa, Lewandowska czy nawet chwiejny Zwarycz (niepotrzebnie romansowałaś z nim niedwuznacznie dla ożywienia sztuki — w pierwszej scenie, skreślonej słusznie przez reżysera). Wiedz, sroga pani, że po twoim odejściu wszyscy twoi koledzy, z jednym wyjątkiem, odwracają się od małodusznego Mazurkiewicza, a on jest najzupełniej zdruzgotany.

„Egzamin" Jana Pawła Gawlika to cenna pozycja w repertuarze lubelskiego Teatru im. J. Osterwy. Dobrze się stało, że dyrekcja pokazała ją w inscenizacji i reżyserii znanego warszawskiego reżysera, Józefa Słotwińskiego, współpracującego ostatnio coraz częściej z naszym zespołem aktorskim. Bardzo szczęśliwym pomysłem było nadanie personom sztuki rysów karykaturalnych, bo przecie nikt by nie uwierzył w możliwość realnego istnienia kiedykolwiek w Polsce szkoły, która by zgromadziła tylu oportunistów naraz.

Lubelski spektakl „Egzaminu" przynosi wzór dobrej gry zespołowej, toteż wymieniam całą obsadę z prawdziwą przyjemnością: Małgorzata Nieśpiałowska (Krystyna Chlebowska), Maria Szczechówna (kumana (kompromitujący Partię Naczelnik Pstrąg) i w końcu — pochwała dla Lucjana Zabramnego za udany epizod Ucznia.

Scenografia Liliany Jankowskiej jak zawsze pomysłowa, nawet wówczas, gdy nie ma wielkiego pola do popisu.

Jan Paweł Gawlik — „Egzamin". Na zdjęciu: Maria Karchowska, Henryk Gońda, Piotr Suchora, Krystyn Wójcik, Zofia Stefańska, Maria Szczechówna, Małgorzata Nieśpiałowska, Zyta Połomska

Fot. Z. Zugaj

W Pradze wychodzi „Literarni mesičnik" w nakładzie 15 000 egzemplarzy. Redaktorem naczelnym czasopisma jest dr Oldrich Rafaj, krytyk i teoretyk literatury, dramaturg, znany i ceniony tłumacz literatury polskiej, członek prezydium Związku Pisarzy Czeskich. O charakterze i profilu ideowo-artystycznym pisma mówi dr O. Rafaj:

W kręgu spraw Polski

Dr Oldřich Rafaj

— „Literarni mesičnik" jest organem Związku Pisarzy Czeskich. Jego pierwszy numer ukazał się w październiku 1972 roku. Czasopismo wychodzi dziesięć razy w roku, liczy 144 strony. Dzięki mistrzowskiej koncepcji graficznej naszego redaktora technicznego udaje się nam w każdym numerze opublikować 400 stron maszynopisu poza licznymi fotografiami artystycznymi i grafikami.

Jaką koncepcję i linię ideowo-twórczą realizuje nasze czasopismo? Odpowiedź jest jednoznaczna: chodzi o konsekwentne wdrażanie wytycznych polityki kulturalnej KPCz, którą sformułował XIV i XV Zjazd Partii, o artystyczne zobrazowanie życia człowieka i rozwoju społeczeństwa socjalistycznego, o odpowiedzialne przedstawianie konfliktów.

Nasz miesięcznik współpracuje z pisarzami, zaprasza ich do współpracy. Na przykład nie mogłaby istnieć stała rubryka reportażu artystycznego bez odpowiedzialnej pracy z jej autorami — pisarzami. Również wiele traktatów teoretycznych i filozoficznych powstało po przyjacielskich rozmowach w redakcji z ich potencjalnymi autorami. Tak zrodziło się również kilka dzieł prozatorskich, a nawet wierszy.

— *„Literarni mesičnik" utrzymuje ścisłą współpracę z wieloma polskimi czasopismami literackimi...*

— Utrzymywanie kontaktów z czasopismami bratnich krajów socjalistycznych jest ściśle związane z internacjonalistyczną koncepcją działania „LM". Współpracujemy z „Miesięcznikiem Literackim" i „Literaturą". Na spotkaniu redaktorów naczelnych czasopism literackich i kulturalnych krajów socjalistycznych w Warszawie uzgodniliśmy z Władysławem Machejkiem wymianę materiałów z „Życiem Literackim". Chciałbym podkreślić, że zarówno wymiana materiałów, jak i stałe wymienne redaktorów są obopólnie korzystne: prowadzą do głębszego poznania problematyki bratniego kraju, do konfrontacji wartości literackich i artystycznych, umożliwiają podjęcie dyskusji w kierunku najgłębszego poznania każdego z nas, jego życia, jego celów i nadziei.

Polska literatura współczesna często gości na łamach „Literarnego mesičnika". W każdym numerze znajdujemy recenzje materiałów publikowanych na łamach „Miesięcznika Literackiego" i „Twórczości". Recenzje i zapowiedzi polskich książek wydawanych w języku czeskim i słowackim są stałą pozycją naszego czasopisma. Drukujemy fragmenty utworów prozatorskich i wiersze polskich literatów, eseje i traktaty teoretyczne polskich autorów.

Oto na przykład w ubiegłorocznym 6 numerze „LM" we współpracy z „Miesięcznikiem Literackim" ukazała się obszerna wkładka poświęcona polskiej literaturze, na którą złożyło się wiele interesujących pozycji. Artykuł wstępny Włodzimierza Sokorskiego „Na socjalistycznych pozycjach", wiersze Jarosława Iwaszkiewicza, Stanisława Ryszarda Dobrowolskiego, Zbigniewa Jerzyny, Kazimiery Iłłakowiczówny, fragment powieści Kawalca „Na dwóch brzegach", wywiad z Tadeuszem Nowakiem, reportaż literacki Andrzeja Niedoby oraz esej Otakara Bartoša o przekładach polskiej literatury pięknej na język czeski i słowacki w latach 1946—1976. Całość ilustrowały piękne grafiki Stanisława Wójtowicza, Stefana Suberlaka i Teresy Jakubowskiej.

W międzynarodowej ankiecie z okazji 60 rocznicy WSRP pt. „Źródła Października" wypowiedzieli się (numer 9 z ub.r.) Andrzej Lam i Witold Nawrocki. W tłumaczeniu do kolejnych numerów czasopisma znajdują się obszerne eseje: Zenony Macużanki o twórczości Wojciecha Żukrowskiego i Witolda Nawrockiego: „Współczesna polska powieść polityczna".

*

Redakcja „LM" utrzymuje także ścisłe kontakty z Sekcją Literacko-Artystyczną, działającą przy Zarządzie Głównym Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego w Cieszynie Czeskim. W wywiadzie dla miesięcznika „Zwrot", organu PZKO, dr O. Rafaj powiedział m.in. „Serdecznie zapraszam członków SLA na łamy „Literarnego mesičnika". Jestem przekonany, że dla dojrzałych, ambitnych dzieł znajdziemy dobrych tłumaczy".

Rozmawiał: **Zdzisław Czapliński**

ANNA KAMIEŃSKA

Dwa wiersze lubelskie

Teresie Ferenc ze wsi Sochy

WIERSZE

Czytałam wiersze
i nagle ujrzałam płacz Teresy
ona płakała moimi łzami
Cała
od trepków z blaszaną sprzączką
do końca bursztynowego włosa
zmieściła się w mojej samotności
od lubelskiego wzgórza
od pierwszego ognia
od kołaczącej furtki opuszczenia
okręciła się we mnie
jak dziecko w tańcu

Cóż w zamian mogę
chciałabym rozjaśnić się ku tobie
całą jasnością
Jedną ręką ciemność
drugą ręką światło

PORTRET Z BUCZYNĄ

Do czego jest podobna pytam
pęknięty owoc buczyny
szczęśliwy słodki
wiewiórka w rdzawych liściach go zgubiła

Do czego jeszcze
do wiewiórki właśnie
która swój orzech obiera dokładnie
jest doskonała i chytra w swej sztuce

Jeszcze do czego do dziewczęcej matki
z żółtym warkoczem z czosnku
co ciągle rodzi swoje dzieci
choć już dorosły

Do kłębka płaczu
wysnutego z Labcinej kieszeni
w nieutulonym dzieciństwie uśpiona
dojrzałością czujnego ciała czuwająca

I do dziecięcej Sybilli
która ma oczy szare uśmiechnięte
księgę snów trzyma w bursztynowej dłoni
z palcem na ustach

Taka jest jeszcze inna i znów inna
gdy z nagim psem się tarza na murawie
niesie karteczkę z nowo napisanym
wierszem
boi się swej mądrości drży jak listek

MIECZYSŁAW ŚMIETANA

NIE PAMIĘTAM JUŻ CIEBIE

Nie pamiętam już Ciebie
i kamień jest we mnie
pytasz czy... ach kamień nie boli
stało się gdy lodowiec M. spłynął ze mnie
i w cieple twych rąk jeszcze
stopił się we łzy co kąsają oczy
(sentyment zmurszałego kamienia)
idąc przez życie potknęłaś się po prostu o
niego
upadłaś ciężko patrzysz w oczy ziemi
widzisz w nich cień swój leżący
choćbyś podniosła się nawet on leżał będzie
stań kucnij siądź ten zawsze będzie spoczywał
więc porzuć go bo to nie nadziei cień
Nie pamiętam już Ciebie
i daremnie mi kreślić znaki powietrzne
dłońmi
byłoby w tym za wiele wysiłku nowego
Syzyfa
który usiłuje namalować na wietrze
trwały i dostrzegalny obraz
Nie pamiętam już Ciebie
choć w to nie wierzę

Rys. D. Opolski

Z PAMIĘTNIKA LENIA

Długo leżałem na leśnej polanie
zastygły w bezruchu
z topniejącym wzrokiem
tak jak to robić potrafią zgubione rzeczy
już po chwili obsiadły mnie
watahy mrówek
chmary much
armie sprzymierzonego robactwa
popychając się potrącając depcząc
wpełzały na mnie w powszechnym triumfie
z brzęczeniem błon chrzęstem chityn czułek
przybywały ich nowe zastępy
słyszałem brzęczenie much radosne jak ryk
krowy po porodzie
słyszałem marszowy chrzęst falangi mrówek
chóralny śpiew podnieconego robactwa
czułem bijący od nich trupi zapach
czułem ich wulgarne dotknięcia
kąsały mnie zażarcie
chcąc rozszarpać każdy milimetr mojego
ciała
zdjąłem się z pomnika dostojeństwa
i godności ludzkiej mówiąc
czuj
słuchaj
myśl
oto człowiek więcej niż pół jego
spójrzcie
ja
monument lenistwa
leżę preparowany przez robactwo

Na zrywce

Taisa Katner

SZÓSTA rano. W stajni codzienny ruch. Wozacy krzątają się koło koni. To także pora czyszczenia zwierząt.

— Ale dziś parszywie leje — zauważa któryś. — Nie wiadomo, czy wyjdzie się na zrywkę. Będzie ślisko.

— Warto byłoby choć na trochę pojechać, to przecież koniec miesiąca, co zarobimy, jak tak będziemy stać?

Jan Klimek kręci się po stajni. Pracuje w parku już przeszło 15 lat. Przedtem robił 13 lat w lesie, na zrywce, ale któregoś dnia przywaliło go. Było to zimą. Spadły śniegi, nic nie było widać i drzewo przygniotło mu nogę. Od tej pory robi w stajni. Zarabia mniej, ale żal mu zostawić koni. Kocha je. Zawsze miał najtęższą parę.

Co chwilę któryś z wozaków podchodzi do drzwi stajni i patrzy w niebo.

— Władek, przejaśnia się, może pojedziemy. Tam na górze leży jeszcze trochę dłużycy, zwiezlibyśmy.

Po kilku minutach zaprzęg jest gotowy. Jerzy Jaskólski i Władysław Szurek wyruszają do pracy.

Dzisiaj wyjątkowo trudne warunki, będzie ślisko, lepiej więc we dwóch. Zwykle jeżdżą oddzielnymi zaprzęgami, choć przepisy bhp nie bardzo na to pozwalają. Ale przecież nie ma ludzi, a poza tym w pojedynkę więcej się zarobi!

Jedziemy i jedziemy. Okazuje się, że tym razem jeszcze nie tak daleko, bo jakieś pięć kilometrów, a przecież bywa, że i dziesięć trzeba dojechać. Dlatego myśli się o dowożeniu koni na miejsce zrywki specjalnie dostosowanymi do tego samochodami. Nawet takie próby już były, ale to na razie faza prób i eksperymentów, a tymczasem konie na własnych nogach pokonują przestrzenie.

Podnóże góry. Stąd już idzie się pieszo. Konie spokojnie i cierpliwie wspinają się na szczyt. To brną w błotnistej glinie, to potykają się o kamienie. Droga nierówna. Pełna wystających pni, porozrzucanych gałęzi.

— Szlag by trafił! znowu nie uprzątnięty szlak zrywkowy. Weź no, Władek, te gałęzie. Bo przecież konie się pozabijają.

Przepiękny bieszczadzki las. Buki, sosny, olchy. Przy wyrębie stosuje się tu gospodarkę przerębową z nawrotami cięć. Chodzi o to, aby nie przetrzebiać zbytnio lasu, zachować jego charakter i stworzyć mu jak najlepsze warunki do odmładzania się. Przy takiej gospodarce jedynie człowiek i koń mogą wyciągnąć drzewo z lasu.

Kilkanaście pni sosnowych leży na szczycie. To dłużyca.

— Władek, daj łańcuch do hamowania, bo stromizna cholerna!

Pień drzewa przyczepiony do zaprzęgu. Gotowe.

— Wio! No, ty wio!

Fot. W. Stępień

Świst bata. I w tym momencie wszystko zaczyna się dziać błyskawicznie. Konie szarpią się, rżą. Zda się, że lecą na oślep z góry popychane wielkim pniem drzewa. Przy nich trzymając kurczowo lejce, szarpią się ludzie. Krzyki, zawołania, parskanie koni. Z hukiem i trzaskiem lecą po stromym stoku.

Nagle konie zaplątały się w nie uprzątnięte gałęzie, a pień zahaczył się o drzewo i nijak nie chce ruszyć. Moment mocowania się z pniem i znowu na łeb na szyję w dół. Na tym odcinku jest tak stromo, że wozak z całych swych sił musi ściągać lejce. Potworna ślizgawica w błocie. Trudno utrzymać konie. Przy zjeździe ze śliskiego stoku koń potyka się, chwieje, traci równowagę, i... nic szczególnego się nie dzieje. Dalej lecą w dół. W pewnym momencie koń robi sprytny uskok i drzewo ląduje w strumyku ustawiając się w kierunku biegu wody.

— To doświadczony koń, wie kiedy uskoczyć — chwali się wozak.

Stromizna przy strumyku mniejsza, ale za to cholerne kamienie. Konie potykają się co krok. Tu już mimo wszystko spokojniej, to już prawie koniec, jeszcze ze 400 metrów łagodnym stokiem. Byle do drogi.

Zrywka w górach to robota niebezpieczna i dla ludzi i dla koni. Najgorsze, że nie wszędzie są szlaki zrywkowe, a poza tym pilarze nie zawsze czyszczą szlak z gałęzi. Latem pół biedy, bo jeszcze wszystko widać, ale zimą... bywa, że i konia przebije. Trzeba bardzo uważać, aby samemu nie mieć wypadku i aby konie wyszły cało. Nie tak dawno przywaliło człowieka, zmarł potem w szpitalu.

Zbliżamy się do końca trasy zrywkowej. Ta liczyła około kilometra. Bywają dwa razy dłuższe.

Wozacy odczepiają drzewo. Cali w błocie. Zmęczeni. Konie parują całą powierzchnią skóry. Chrapy rozdęte. Za chwilę znowu pod górę. A potem w dół.

Takich kursów trzeba zrobić dziennie dwanaście, trzynaście, do piętnastu. Płacą od kubika. Ten pień miał z pół kubika, a żeby wyjść na swoje, trzeba dziennie zwieźć z sześć kubików drzewa. Najciężej z dłużycą, ta była sosnowa, to pół biedy. O wiele gorzej z bukiem. Ciężki. Taki to i trzy tony potrafi ważyć. Trochę łatwiej ze stosowym, ale to jeden diabeł. Ciężka robota.

Dlatego i o ludzi tu trudno. Zjeżdżają, co prawda, w Bieszczady amatorzy dobrych zarobków i mocnych wrażeń, nie niewielu wytrzymuje. Takich jak Klimek, Jaskólski, Szurek, którzy wytrwali już wiele lat, jest mało. Ci zrośli się już z lasem i z końmi, choć nie ukrywają tego, że czasem się tu płacze. A płacze się nie tylko w lesie. Życie nie rozpieszcza bieszczadzkiego wozaka. W tutejszym sklepie to nawet kupić nic porządnego nie można.

— Kiedyś — żali się Klimkowa — to i stołówka tu była, to było dobrze. Przecież tyle tu ludzi jest, wozacy, pilarze. Jeszcze jak kto ma rodzinę, to pół biedy, ale ci wszyscy samotni, co mają jeść? Wiecznie na suchym. My to musieliśmy sobie krowę kupić, bo i mleka nie ma tu gdzie dostać. Oj, ciężko tu. Warunki trudne. Nie każdy wytrzyma...

Nawet najwytrwalsi załamują się. Kubiakowie są już u kresu wytrzymałości. Zwłaszcza Wanda. Trzyma ich jeszcze ta nadzieja, że dostaną mieszkanie. W nadleśnictwie obiecali co prawda, ale już kiedyś obiecywali i dali komu innemu. To mieszkanie to jak senne marzenie. Prawdziwe. Nowoczesne, z łazienką i wodą w kranach.

A tymczasem proza życia daje się Kubiakom mocno we znaki. Innym to chociaż zakupy łatwiej zrobić. Troje dzieci do wykarmienia to nie żarty. Od czasu do czasu bierze więc Andrzej wolny dzień u brygadzisty i jedzie jakieś 50, 60 kilometrów za towarem.

— Ja już nie mam siły — wyrzuca z siebie Wanda. — Tu nie idzie żyć. Teraz to jest cudownie... ale trzeba było zobaczyć, jak to obejmowaliśmy kilka lat temu. Wszystko zdemolowane. Jak przedpotopowa kurna chata, czarno, że Jezus Maria! Sami pomalowaliśmy. Ale co z tego, to się wali, trzeba by remontu, szkoda gadać. Jak nie dadzą tego mieszkania, to musimy stąd zwiewać. Boję się, że po ośmiu latach pracy mąż będzie musiał iść gdzie indziej. Ale kogo to obchodzi? Czy kto uszanuje cudzą pracę? Powiedzieli mu, jak ci się nie podoba, to idź.

Z tonu Wandy, z każdego jej gestu przebija rozdrażnienie, rozgoryczenie.

Andrzej tymczasem krząta się koło koni. Na nogach jest zwykle od piątej rano. Tu nie ma stajennego. Samemu trzeba wszystko koło konia zrobić. Właśnie zabiera się do podkuwania.

— Rusza się — mówi — na tych kamieniach konie ciągle gubią podkowy... Sami przybijamy, bo i co robić, kiedy kowala nie ma.

Sprawa kowala i kopyt końskich to bolączka bieszczadzkich parków konnych. Wiadomo, że przy zrywce odpowiednia pielęgnacja kopyt stanowi sprawę zasadniczą. Niemniej konie są niefachowo kute przez wozaków. Utrudnia to zwierzętom pracę, a ponadto niszczy kopyta. Wszystko to skraca okres eksploatacji konia. A koń kosztuje blisko 30 tysięcy zł.

Marzeniem Okręgowego Zarządu Lasów jest stworzenie parków konnych z prawdziwego zdarzenia, z odpowiednimi stajniami, kowalem na miejscu, magazynami na karmę, rymarnią, no i oczywiście mieszkaniami dla pracowników. Ale to jeszcze pieśń przyszłości.

— Narzeka się, że ludzie tu piją, ale co robić? Żadnej rozrywki, ani kina, ani niczego. Jedynie ta knajpa. To nic dziwnego, że wiara po wypłacie, a zarabia się tu dobry pieniądz, idzie się upić. Potem się biją i draka gotowa. Nawet dziewczyn tu nie ma — żali się Roman Brońko.

Ma 18 lat. Na zrywkę przyjechał dwa miesiące temu z dużego miasta. Nie wie jeszcze, czy długo wytrzyma. Na koniach znał się już przedtem, ale nie od razu puścili go do lasu. Najpierw pokazywali, uczyli. Sam brygadzista z nim jeździł. Potem jakiś czas pracował jako pomocnik.

— Ale tu nawet konia nie od razu puszcza się do pracy — dorzuca. — Najpierw przez jakiś czas uczy się go chodzić po górach, dopiero potem zaprzęga do pnia.

Fot. Archiwum

Wozak wraca ze zrywki. Wygląda jak z piekła rodem. Umorusany od stóp do głów. Cały w glinie.

— Wywaliłem się kilka razy. Ślisko jak cholera — tłumaczy swój wygląd.

Wyprzęga konie. Potem idzie w kierunku studni. Wyciąga wodę do mycia.

Czasem człowiek zmachany wali się jak stoi na wyrko w prymitywnie urządzonym pokoju hotelowym. A konie? Te nie mają lepiej. Stajnie nie są dostosowane. Koń po tak ciężkiej pracy praktycznie nie ma możliwości odpoczynku.

Na zrywce koń męczy przede wszystkim nogi. I one powinny odpocząć. Ale zwierzę niechętnie kładzie się na zimnej, betonowej posadzce lub pełnej nierówności podłodze. Woli stać dalej. Nie odpoczywa należycie.

Codziennie w bieszczadzkich lasach około dwóch tysięcy koni wyrusza na zrywkę. Około 80 proc. z tego to konie wozaków prywatnych. Reszta to konie parkowe. Tu wyjątkowo sprawdza się przysłowie „pańskie oko konia tuczy". A wyraża się w lepszej kondycji koni właścicieli prywatnych, którzy pracują w równie trudnych warunkach, jak pracownicy i konie parkowe.

— Udało się zdobyć paszę. W parku duże poruszenie. Z tym stale są kłopoty, a przecież takiego konia nie możemy żywić trawą. Na łące to on się napasie, owszem, wyżyje z łąki, ale nie będzie miał siły do pracy, a to są przecież ciężko pracujące konie. Im trzeba dać lepiej zjeść. Na razie trochę spokoju. Udało się zdobyć paszy na jakieś dwa miesiące — mówi brygadzista.

— Stój, siwy — uspokaja wozak konia, któremu właśnie usiłuje opatrzyć ranę.

— Najgorzej, jak wilgotno. Wtedy konie najbardziej się odparzają. Uprząż niedobra. I zmiany nie pomagają. Czasem chodzą w chomątach, a czasem w szorach. Wszystko diabła warte. Nie ma porządnej uprzęży.

Co gorsza, nie ma kto jej zrobić. Nadleśnictwa czynią wysiłki, ale nie odnosi to większego skutku. Jest nawet jeden taki zakład w Poznaniu, który podjąłby się zrobić uprząż, ale każe dostarczyć sobie części metalowe, okucia. Skąd je wziąć?

W lesie ciągle potwornie ślisko. Zrywka jednak trwa, mimo że kłóci się to trochę z przepisami bhp. Słychać rżenie koni, pokrzykiwania wozaków. Właśnie z hurgotem zjeżdża ze stoku wóz wyładowany po brzegi drzewem pociętym na metry. To stosowe. Mówi się, że to lżejsze od dłużycy. Może? Ale zarówno jedno jak i drugie wymaga od ludzi i zwierząt ryzyka. Wozak wie, że jeden nieostrożny, mniej sprawny ruch może kosztować go życie. Konia także żal.

Rokrocznie w Bieszczadach w okolicach Baligrodu, Leska, Komańczy, Cisnej, Wetliny w ten sposób dostarcza się 400 tysięcy metrów sześciennych drzewa. Limit cięć nie jest tu jeszcze w pełni wykorzystany. Drzewa potrzeba więcej.

Myśli się więc w Okręgowym Zarządzie Lasów Państwowych czy w pewnych partiach nie zastąpić gospodarki przerębowej próbami pomniejszonych zrębów zupełnych? Wówczas bardziej można by ruszyć w las z mechanizacją. Oszczędziłoby się konie. No i szło by to wszystko szybciej.

Ta wersja ma jednak wśród leśników przeciwników. To nie takie proste. Wyciąć las w całości — nie sztuka. Ale jak go potem odzyskać? Taki buk rośnie 150 lat!

Z mechanizacją także trudna sprawa. Gąsienicowe ciągniki TDT-40 nie bardzo zdają egzamin. Niszczą poszycie. Łamią młode drzewa. Słowem — dewastują las. Wprowadzenie ich na większą skalę byłoby dla lasu niebezpieczne. Wszyscy są zgodni, że najlepsza dla lasu jest zrywka konna.

— Wio! — i para koni rusza spokojnie na swój codzienny szlak. O asfalt szosy stukają kopyta.

— Nie podkułeś konia, stary, podkowa mu lata. Zaraz ją zgubi na tych kamieniach.

Zaprzęg zbliża się do lasu. Z dala słychać już pilarzy.

— Szlag by trafił! I znowu nie uprzątnięty szlak zrywkowy — złoszczą się wozacy...

Recytatorzy w odwrocie?

Stanisław Wojciechowski

Waldemar Stacharski

Janusz Goliszek

— Mamy już za sobą wojewódzkie eliminacje XXIII Ogólnopolskiego Konkursu Recytatorskiego, w marcu odbędzie się w Warszawie Centralny Koncert Laureatów, w którym wezmą udział dwie osoby z województwa lubelskiego — Janusz Goliszek i Waldemar Stacharski. Byli najlepsi spośród 46 uczestników wojewódzkich eliminacji. Ale przecież przyznano aż pięć pierwszych nagród... — pytam Krystynę Chruszczewską, st. inspektora ds. upowszechniania teatru w Woj. Domu Kultury w Lublinie.

— Przede wszystkim chciałabym zwrócić uwagę, że używa pan niewłaściwego określenia: my mówimy o turnieju wojewódzkim, do którego wchodzą osoby wyłonione w drodze eliminacji środowiskowych i rejonowych. 46 osób, które brały udział w turnieju, zostały wyłonione z około tysiąca recytatorów i właściwie reprezentuje ten sam poziom. Chodzi nam o podkreślenie, że to jest ścisła czołówka. Stąd nic dziwnego, że może być przyznanych nawet pięć pierwszych nagród. Oczywiście do Warszawy jadą tylko dwie osoby i te są wybierane przez jury pod kątem dodatkowych okoliczności — jak choćby konsekwencja w doborze repertuaru czy niekonwencjonalne, odkrywcze podejście do tekstu. Zasady Konkursu Recytatorskiego podlegają stałej ewolucji. Na przykład przez szereg lat walczono o miano najlepszego recytatora w kraju: dzisiaj zamiast eliminacji centralnych mamy Centralny Koncert Laureatów, a najlepszy recytator i najlepszy wykonawca poezji śpiewanej otrzymują specjalne medale. W ubiegłym roku z okazji obchodów 60-lecia Rewolucji Październikowej przyznano jeszcze jeden medal — dla najlepszego wykonawcy poezji radzieckiej.

— Pierwszy Ogólnopolski Konkurs Recytatorski został ogłoszony jesienią 1953 r. z inicjatywy Ministerstwa Kultury i Sztuki oraz Związku Literatów Polskich. Sam byłem w owych czasach recytatorem i dobrze pamiętam ogromne zainteresowanie tą imprezą wśród młodzieży i dorosłych. Nawiasem mówiąc, Lubelszczyzna plasowała się przez wiele lat w recytatorskiej czołówce kraju. Romana Piech-Kowalczyk, zresztą jedna z pierwszych lubelskich uczestniczek eliminacji centralnych, przytacza w grudniowym numerze „Biuletynu WDK w Lublinie" interesujące liczby: w turniejach centralnych, od I do XVI, nasi reprezentanci zdobyli 25 nagród, w tym czterokrotnie zajęli I miejsce, a jedenastokrotnie — drugie. W następnych latach jeszcze trzy osoby wzięły udział w koncertach ogólnopolskich.

Ale ostatnio ruch recytatorski stracił jakby rozpęd, a nawet mówi się wśród obserwatorów o swoistym kryzysie — że powołam się choćby na stwierdzenie Krzysztofa Sielickiego w styczniowej „Scenie"...

— Ale Sielicki podkreśla też fakt, że nastąpiło ogromne zainteresowanie monodramem, teatrem poezji, jednego aktora itp. A przecież to nic innego, jak tylko „wyższa" forma recytacji. Więc nie ma obawy o spadek zainteresowania „żywym słowem". Jeżeli chodzi o ruch recytatorski, to ogólnie rzecz biorąc poziom jest wyższy i bardziej wyrównany. Natomiast nie trafiają się dzisiaj wybitne indywidualności — jak to kiedyś bywało. Przypuszczam, że z tego również powodu najbardziej twórcze jednostki dążą do własnych, jednoosobowych teatrów poezji. Zresztą ze społecznego punktu widzenia taka sytuacja jest bardziej słuszna. Organizatorom nigdy wszak nie chodziło o „gwiazdorów", ale o rozmiłowanie społeczeństwa w poezji, w pięknie słowa mówionego. I jeszcze jedno: zapominamy, że swego czasu Konkurs Recytatorski był jedyną imprezą tego rodzaju i o tak szerokim zasięgu. Dzisiaj, kiedy tak bardzo rozrósł się amatorski ruch teatralny, kiedy mamy ogólnopolskie festiwale teatrów poezji, teatrów małych form, teatrów jednego aktora — Konkurs Recytatorski jest tylko jedną z imprez. Dodajmy jednak, że najbardziej powszechną.

— Obserwując turniej wojewódzki, zwróciłem uwagę nie tylko na wyrównany poziom artystyczny, ale także na niebanalny dobór repertuaru. Młodożeniec, Baczyński, Różewicz, Norwid, Grochowiak, Szymborska, a z autorów zagranicznych — m. in. Wasilij Szukszyn. Janusz Goliszek zaskoczył mnie doskonałą interpretacją wiersza Młodożeńca „Lato", szczególnie umiejętnością wydobycia jego warstwy formalnej. Osiemdziesięcioletni Stanisław Wojciechowski doskonale mówi poezje Różewicza. Wreszcie — niebanalne wykonanie przez Waldemara Stacharskiego „Jak to na Mazowszu" Teofila Lenartowicza, wiersza, do którego sam skomponował muzykę.

— To w dużej mierze zasługa instruktorów, którzy w ostatnich latach reprezentują naprawdę wysoki poziom. Bardzo wielu wśród nich licealnych nauczycieli języka polskiego, nierzadko wykorzystujących doświadczenia wyniesione z zespołów lub teatrów studenckich. Janusz Goliszek, uczeń Zespołu Szkół Mechanicznych w Lublinie jest wychowankiem młodej polonistki, p. Romualdy Janik. Potrafi ona rozbudzić zainteresowanie uczniów współczesną literaturą: inny jej wychowanek, Mariusz Jachimiuk, recytował podczas turnieju utwory Baczyńskiego i Różdżewieńskiego... A wracając do spraw organizacyjnych Konkursu Recytatorskiego i poszukiwania nowych form oddziaływania: trzeba koniecznie podkreślić tegoroczną inicjatywę naszej koleżanki, Haliny Tomaszewskiej, instruktorki do spraw żywego słowa w WDK i głównego organizatora Konkursu — inicjatywę wprowadzenia w dniach turnieju specjalnych „warsztatów recytatorskich", prowadzonych przez doświadczonych instruktorów, takich jak Regina Możdżeńska z Lubelskiego Domu Kultury, czy Elżbieta Rojek z Młodzieżowego Domu Kultury w Lublinie. Chodzi o to, żeby recytator nie ograniczał się tylko do tych dziesięciu minut na scenie, kiedy wykonuje konkursowe utwory, ale żeby miał również możność poznania metod pracy różnych instruktorów, wymiany doświadczeń z kolegami z innych miejscowości. Ta forma bardzo chwyciła. Uczestnicy pracowali z ogromnym zapałem nad specjalnym programem, który przedstawili na zakończenie, podczas „Dyskoteki z poezją".

— Wśród recytatorów najwięcej było młodzieży szkolnej, widziało się ludzi mocno zaawansowanych w latach. Pamiętam czasy kiedy na Konkursie Recytatorskim roiło się od studentów...

— Niestety. W tegorocznym turnieju występowały tylko dwie studentki. I to były zresztą nasze „wychowanki", uczestniczki poprzednich konkursów, kiedy to występowały jeszcze jako licealistki. Studenci prawie z wielkim nie interesują się Konkursem Recytatorskim. A przecież kiedyś dzielił się on nawet na trzy specjalne kategorie: młodzieży szkolnej, amatorów oraz studentów. Dzisiaj mamy już tylko dwie: dorosłych i młodzieży szkół ponadpodstawowych. Być może tej absencji studentów trzeba szukać w fakcie dynamicznego w ciągu ostatnich dwudziestu lat rozwoju teatru studenckiego, który stał się w Polsce odrębnym, swoistym zjawiskiem artystycznym i kulturowym. Natomiast charakterystyczne jest dla ostatnich lat wielkie zainteresowanie recytacją i poezją ze strony ludzi starszych bardzo często — członków Klubów Złotego Wieku. I co ciekawsze, nie rzadko sięgają oni po poezję ludową albo... współczesną. Może więc nie jest aż tak źle z odbiorem i zrozumieniem tej współczesnej poezji w społeczeństwie, jak się często zwykło mawiać...

— Konkurs Recytatorski w ciągu dwudziestu trzech lat dokonał więc w dziedzinie naszej wrażliwości artystycznej i w literackich upodobaniach — nie małych zmian.

— Myślę, że tak. Za jego pośrednictwem poezja, „żywe słowo", rozprzestrzeniała się niby płomyk owej symbolicznej świecy, która pod koniec każdego turnieju wojewódzkiego ubiegłoroczny uczestnik Centralnego Koncertu Laureatów przekazuje aktualnemu reprezentantowi województwa lubelskiego — na koncercie w Warszawie.

Rozmawiał: **Mirosław Derecki**

Kamena str. 8

oko-lice sztu-ki

„A.S." czyli na serio

MALUJĄ duże obrazy, szanują malarstwo, odrzucają ze zniecierpliwieniem wszelkie krakania na temat jego deprecjacji w czasach wizualnej komunikacji elektronicznej, decydującej rzekomo o totalnie nowym typie zbiorowej wrażliwości i treści masowej wyobraźni. Krytycznie, ale i z dobrotliwą ironią traktują wynurzenia konceptualistów, dekorowane tzw. intelektualną frazeologią, która w gruncie rzeczy jest czymś w rodzaju werbalnej aplikacji na cherlawych myślątkach autorów przeróżnych „programów teoretycznych" oraz manifestacji „mentalnych", redagowanych na użytek niewielkiego klanu wyznawców. O pewnych zjawiskach współczesności artystycznej wypowiadają się w duchu „Manifestu w sprawie poezji futurystycznej" Bruno Jasieńskiego, który ponad pół wieku temu zauważył, że: „Kubizm,

NIE dlatego ma on „złote ręce", że na kilku palcach nosi sygnety z tego szlachetnego kruszcu (oczywiście, nigdy podczas pracy na estradzie!). Natomiast dlatego, że wartość jego niepospolicie sprawnych rąk może być ceniona istotnie na tzw. „wagę złota" i to wysokiej próby. Stąd zresztą ubezpieczył je sobie na kwotę prawie astronomiczną.

Nazwisko sceniczne „Astralvi" (alias: Andrzej Słowiński; urodzony w lipcu 1938 r. w Warszawie; od lat mieszkaniec Wrocławia) umyślone jest o tyle niebanalnie, iż jego źródłosłowu trzeba szukać w astrologii („astra" z łac. „gwiazdy"; „lew" to w danym przypadku znak zodiaku właściciela), a sensu — w obranym u progu kariery artystycznej celu: najpierw pokazać w swej specjalności przysłowiowy „lwi pazur", by następnie móc równać do autentycznych gwiazd sceny.

To, że „Astralvi" przynależy dziś do pierwszego garnituru europejskich mistrzów magicznej pałeczki, zawdzięcza głównie swym niepowszednim uzdolnieniom, wspartym wytrwałymi ćwiczeniami i zdrowej ambicji, która podpowiada mu nadal, iż łatwiej zadowolić publiczność niż sobie samego. Żaden inny polski iluzjonista poza nim nie otrzymał w wieku trzydziestu kilku lat najwyższej, bo „S" kategorii artysty estradowego. On na pewno nie dostał jej w prezencie. Musiał na nią solidnie zapracować, gdyż w tym względzie Ministerstwo Kultury i Sztuki nie stosuje wobec nikogo nawet najmniejszej taryfy ulgowej. Toteż, kto choć trochę wyznaje się na sztuce iluzji i przynajmniej raz widział jego występ — nie może mieć cienia wątpliwości, że oglądał wielce utalentowanego prestidigitatora. A przecież „talent — według Cypriana Kamila Norwida — to zasługa".

Chociaż jest iluzjonistą uniwersalnym i na swej ponad dwudziestoletniej drodze artystycznej poznał dobrze deski sceny i estrady (także w plenerze) oraz krąg areny (we wrześniu 1977 r. pracował w cyrku „Intersalto", zaangażowany do programu „Black Magic Show"), jednak od pewnego czasu najczęściej występuje na parkietach nocnych lokali rozrywkowych.

Ten tuz manipulacji, dysponujący jako artysta iluzji różnorodnym i wielogodzinnym repertuarem, prezentuje aktualnie widzom rzeczywiście fascynujący numer, który trwa niespełna 15 minut. Wychodzi bowiem z założenia, że „dużo to nie

ekspresjonizm, prymitywizm, dadaizm przelicytowały wszystkie izmy. Pozostał jeszcze nie wyzyskany jako prąd w sztuce jedynie onanizm".

A przy tym wszystkim nie są wcale tradycjonalistami; mając respekt — nie rozczulają się nad sztuką przeszłości. Są młodzi, urodzili się na początku lat pięćdziesiątych. Grupę „A. S." utworzyli stosunkowo niedawno, bo w marcu 1975 roku, dopiero kończą studia w Instytucie Wychowania Artystycznego UMCS w Lublinie, więc ubieranie ich w pelerynkę pełnej dojrzałości twórczej i samoświadomości poczynań byłoby bez wątpienia czymś pretensjonalnym i chyba szkodliwym. Ale obserwując ich działalność i odnotowując niektóre uwagi na temat sztuki, trudno jakoś rezygnować z uznania członków „A. S." za potomstwo ideowe konstruktywizmu i literackiej (!) Awangardy Krakowskiej spod znaku Tadeusza Peipera. No bo tak: z jednej strony malarstwo jest dla nich laboratorium form, które aż proszą się o przeniesienie w przestrzeń społeczną, urbanistyczno-architektoniczną, z drugiej zaś — stanowi obszar kreacji autonomicznych wartości artystycznych, kształtowanych przy pomocy dobrego już majsterstwa. Sztuka „dla dwunastu" (odbiorców), znajdująca drogę do „dwunastu milionów" — przynajmniej w planie ideowym. Zwielokrotniona replika „punktowych", spójnych wewnętrznie płócien Zenona Kruszewskiego, z dużym wyczuciem koloru kontrastowanej „fali świetlnej" Ireneusza Wydrzyńskiego, czy „geometrycznych przestrzeni" Maksymiliana Starca i Jacka Wolskiego — zyskując w makroskali nowe jakości, nowy sens wyrazowy, wcale — jak mniemam — nie zepchnęłaby oryginałów do niezobowiązującego poziomu szkicu, przymiarki, wprawki koncepcyjnej. To samo dotyczy obrazów Karola Karwowskiego.

O tym, że ci młodzi ludzie w sposób świeży i wielokształtny pojmują społeczną obecność sztuki, jako czynnika aktywizującego wyobraźnię, świadczyły projekty Grupy „A. S.", prezentowane podczas Lubelskich Spotkań Plastycznych, w marcu 1976 roku, związane z przestrzenią urbanistyczno-architektoniczną LSM i dzielnicy uniwersyteckiej. Sprawa była głośna, doczekała się ekspozycji w prasie miejscowej, referowałem ją także na łamach „Sztuki", więc przypomnę tylko, że studenci chcieli urządzić wśród standardowych bloków coś w rodzaju „radosnego ogrodu pełnego niespodzianek", coś w typie plastycznego Disneylandu, wystylizowanego jednak ze znajomością smaku współczesnego, formowanego m. in. przez niektóre wizualne przejawy kultury masowej w rodzaju komiksu czy plakatu. Ustawili — w zamyśle — wielkie, kolorowe i betonowe owoce przed akademikiem na Zana, przerzucili nad ulicami dziwne bramy (tryumfalne?), w zieleni „botanika" puścili cementowego „węża", a jeden ze starych domów studenckich, koło „Chatki Żaka", zamienili malowidłami w lokomotywę. Projekty pozostały jednak na papierze.

W podobny sposób zabrali się członkowie „A. S." do artykulacji przestrzeni miejskiej w czasie sympozjum „Pruszków 1977/1978", stawiając, na przykład, czerwoną, dużą kostkę do gry na zielonym trawniku przed jakimś ważnym urzędem publicznym.

Ten kierunek ich aktywności wiąże się z szeregiem akcji plastycznych o charakterze jakby rytualnym, w których bezpośrednio uczestniczyła publiczność.

Można zatem powiedzieć, że uczniowie Mariana Bogusza (a później Mieczysława Hermana i Andrzeja Kołodziejka) działając w różny sposób na różnych płaszczyznach, zawsze koncentrują swoją uwagę na kwestii interwencji w zbiorową wyobraźnię, ujmowanej w kontekście szacunku dla sztuki i dla widowni, którą nierzadko zwabiają do dzieła wspólnej kreacji, wspólnej przygody. I dlatego też, zdając sobie sprawę z dystansu, jaki dzieli poszczególnych członków „A. S." od osiągnięcia pełnej tożsamości twórczej, ośmieliłem się zwrócić uwagę czytelników tej rubryki na działalność studentów Instytutu Wychowania Artystycznego UMCS w Lublinie, którym kieruje doc. dr Kazimierz Dobrzyński, wspomagany dzielnie przez swego zastępcę, Jerzego Cynke-Widalisa, oraz niemal trzydziestu malarzy, rzeźbiarzy, grafików, metodyków, historyków i krytyków sztuki.

IJK

P. S. Lutową ekspozycję w Klubie MPiK osiedla im. Krasińskiego na LSM, która stała się powodem powyższych uwag, poprzedziła wystawa Grupy „A. S." w warszawskiej Galerii Teatru Studio, czyli „u Szajny" (grudzień 1977 r.).

ZŁOTORĘKI „ASTRALVI"

Marek Zdrojewski

znaczy dobrze, ale dobrze to znaczy dużo". Dość często mówi się (i pisze), że to „numer z piwkami". Wszelako — piszącemu te słowa — nie wydaje się to słuszne. Pojawiające się małe piwa stanowią w jego przemyślnie zbudowanym numerze jakby leitmotiv i zarazem są one przerywnikami, między którymi dopiero znajdują miejsce perły manipulacji — z kartami (z elementami iluzjonistycznej żonglerki), fajkami, banknotami, papierosami. Nieprawdopodobnym igrcom tych przedmiotów towarzyszy odpowiednia mimika artysty, wyrażająca coraz to większą niewiarę w jawiące się rzeczy niemożliwe i zdecydowanie przekonywająca widzów, że wszystkie te zajwiska można zobaczyć będąc tylko w jakimś transie lub w stanie odurzenia alkoholem, a więc: po piwkach. (Aczkolwiek zdarzają się też reakcje odwrotne, że widzowie dobrze podchmieleni — w tym samym czasie po prostu trzeźwieją!) I wtedy, po pokonaniu coraz wyższych szczebli, drabina kończy się, następuje finał — ukazuje się mianowicie żywa biała myszka, która zaczyna spacerować po rękawach fraka i dłoniach wykonawcy. Wspaniale skonstruowany numer został tym samym zamknięty z najlogiczniejszym uzasadnieniem — efektem czytelnym dla każdego odbiorcy. Zachodnioniemiecki fachowy miesięcznik „Magie" (zeszyt 9/1975, s. 233) w relacji z pokazów na galowym wieczorze I Europejskiego Kongresu Magii w Baden-Baden (9—13 lipca 1975 r.) podkreślił, że najlepsze uzasadnienie „wyczarowania" białej myszki miał „Astralvi". O całym tym numerze powiedzieć można bez przesady: „TO JEST TO!" Tak właśnie wyraził się zarówno o tym numerze, jak i o jego wykonawcy znany w świecie iluzjonista węgierski, dr med. Peter Gloviczki z Budapesztu, który plasuje bohatera naszego artykułu w dziedzinie manipulacji bardzo wysoko, bo tuż po „Salvano" (vel: Tomasz Chełmiński).

„Astralvi" pośród wielu przymiotów i cech charakteru odznacza się specyficznym poczuciem humoru. Świadczy o tym np. odpowiedź na pytanie „dlaczego iluzjoniści mają w swych scenicznych strojach dużo kieszeni?", jakiej w swoim czasie udzielił — skądinąd wielce wdzięcznemu — widzowi: "— dlatego, żeby mogli w nie schować przed występem wszystkie ...nerwy!" Na dość często zadawane przez wścibskich nieiluzjonistów pytania, wkraczające w sfere sekretów zawodowych, reaguje również pytaniem „— a czy pan/pani potrafi dochować tajemnicy?". Po upewnieniu się, że „tak" — dodaje: „— otóż proszę sobie wyobrazić, że ja również!", po czym przerywa na ten temat dyskusję i rozmowę kieruje na inne tory.

Jego ulubiona, choć niezbyt często demonstrowana, specjalność w zakresie iluzji zręcznościowej, to manipulacje z monetami (zaliczane do najtrudniejszych z trudnych), a zwłaszcza tzw. „chicago" (czyli monety mnożące się pomiędzy opuszkami palców obu dłoni) i „wodospad" (monety błyskawicznie wędrujące pomiędzy palcami w pozycji z góry na dół), które wykonuje — jako jedyny w Polsce — z prawdziwą maestrią. Jest to rezultat jego kilkunastoletnich ćwiczeń i niebywałego refleksu, wyrobionego w latach młodzieńczych (kiedy to uprawiając szermierkę zdobył we florecie mistrzostwo Dolnego Śląska, a później nawet wicemistrzostwo Polski juniorów), a teraz już tylko doskonalonego, ale doskonalonego codziennie.

Imponuje mu, że wiele spośród rekwizytów, których używa na estradzie, jest w dużej mierze jego własnej produkcji (nie mylić z „jego własnego wynalazku", choć ma także twórczy wkład w tym zakresie i np. ostatnio został autorem oryginalnego rekwizytu, dzięki któremu wiotką chutkę można przez podrzucenie jej w powietrze zamienić — niepostrzeżenie dla wszystkich widzów, a niezrozumiale dla niewtajemniczonych — w sporą kostkę, czyli sześciobok o metalowych ściankach).

Ma kilkoro uczniów, ale imponuje mu jego arcysławny nauczyciel „Salvano", któremu ciągle — zresztą mówi to mistrzowi swemu wprost — zazdrości nie tyle powodzenia i nie podlegających kwestii sukcesów, ile szczególnie tego, że jest on najbardziej rasowym manipulatorem i iluzjonistą.

„Astralvi" włada biegle kilkoma językami (języki obce to jego „hobby") a zadziwia znajomością języka węgierskiego który zna — jak sam powiada — na tyle, że mógłby go poznać jeszcze lepiej, ale za to posługuje się nim jako jedyny z polskich artystów iluzji.

Na swym koncie może zapisać czynny udział w licznych festiwalach i kongresach iluzjonistów: w 1968 r. w Pradze zdobył nagrodę nowości, ufundowaną przez ówczesnego redaktora wspomnianego już czasopisma „Magie", Ernsta Lechnera z Republiki Federalnej Niemiec. Jest to rzeczywiście trofeum znaczące.

„Zaliczył" już ponad 10 krajów (nie tylko europejskich), w których pracował — obecnie przygotowuje się do wojażu najodleglejszego z dotychczasowych, bo na drugi brzeg Atlantyku — jednak zawsze najwięcej cieszą go sukcesy w Polsce. Do takich zalicza kilkudziesięciokrotne występy przed kamerami TVP, po których mimo wszystko nie znudził się rodzimej publiczności.

I wreszcie sam „Astralvi" głosi, że pracuje przede wszystkim głową a wychodzi na to, że imponuje widzom (boć przecie zyskuje ich aplauz) dzięki d o b r e j r o b o c i e palców i dłoni swych — jak określono je w zachodnioniemieckiej recenzji prasowej — „złotych rąk". Rąk, które zapewne nie wypowiedziały jeszcze swego ostatniego słowa w iluzji.

Fot. K. Czyżewski

POEZJA WĘGIERSKA

W TŁUMACZENIU BOHDANA ZADURY

Endre Ady (1877–1919)

ZIARNO POD ŚNIEGIEM

Dręczyło i szarpało mnie,
Nurzając w starych się wierzeniach,
Me ja, oto je lepię
z jęku, krwi, płomienia,
Jak żywego trupa odkładam.

Brak jeszcze świadka z Wczoraj i
Ofiary może mej wojennej
Trzeba, bym twarz wzniósł swoją
Jak memento cenne
Na nowy świat ludzkości nowej.

Bez oskarżenia spojrzę w krąg
Na tryumfy ziemi i klęski,
Aby w chaosie owym
Złowić ton zwycięski,
Słowo fanfar w zgiełku usłyszeć.

Zaczekaj, bohaterska ma
Ludzkości, pięknie śnij sny wieszcze,
Ma zblakła węgierszczyzno,
Wezwie ciebie jeszcze
Życie i nowy Ład zmartwychwstań.

Przez zimę siebie — biedne to
Ziarenko nieme, w śniegu, w szronie
Pełen wiary w swą misję
Aż do wiosny chronię,
Gdy prawdy me kiełkować zaczną.

Rys. D. Opolski

NAD SEKWANĄ

Ten Drugi żyje nad Sekwaną
I nim też jestem, jestem ja
Jeden umarły — dwie postaci,
Życia dwa.

Tu nad Dunajem
Demony szydzą ze mnie, drwią,
W sny nad Sekwaną mnie prowadzi
Miłości czystej odmian sto.

Szczęśliwy Drugi,
Paryża uśmiech wtóruje mu,
Zapędza mnie w pijacki rechot
Tłum nocą skrzeczący tu.

Tam lepszym, pięknym, wszystkie pieśni
Domysłem pocałunków są,
Święta Cecylia schyla się senna
Nad duszą mą.

Tu nad Dunajem
Rozpusta do ladacznicy gna,
Usypia wino,
Tłukę kielich, wypiwszy do dna.

Tam: duszę gwar kołysze święty,
Zmierzch dźwięczny ów
I jak we włosy Ledy wpięty
Storczyk tak życie ucałuję znów.

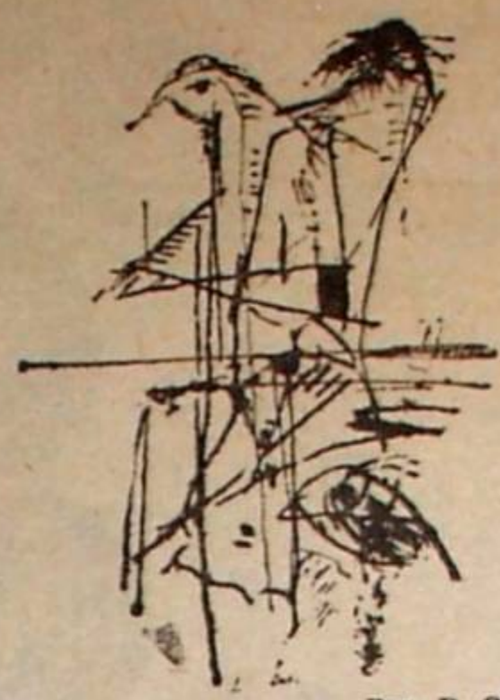

Rys. D. Opolski

DZIŚ ODTRĄCENI

Na czołach stygmat Przyszłości mają,
Często wbrew swoim własnym chęciom,
Jednak się biją, w szranki stają.

Przodkami wszyscy są Teraźniejszości
I kiedyś później znów ożyją
W ludziach nowych nowej Ludzkości.

Patrzą na siebie z miłością i gniewem,
Lecz przecież muszą się odnaleźć
Oni Przyszłości są zasiewem.

Przychodzą, żyją między nami,
Nie umrą?: dzisiaj odtrąceni
Tryumfu oni są ojcami.

OSTATNI UŚMIECH

Ach, żyłem bardzo brzydko,
Ach, żyłem bardzo brzydko:
Piękne będzie ciało me,
Piękne będzie ciało me.

Twarz koźla wypięknieje,
Twarz koźla wypięknieje:
Wargi me uśmiechną się,
Wargi me uśmiechną się.

W mych szklistych, wielkich oczach,
W mych szklistych, wielkich oczach
Będzie błyszczeć, błyszczeć ktoś,
Będzie błyszczeć, błyszczeć ktoś.

Twój odda pocałunek,
Twój odda pocałunek
Uśmiech moich zimnych warg,
Uśmiech moich zimnych warg.

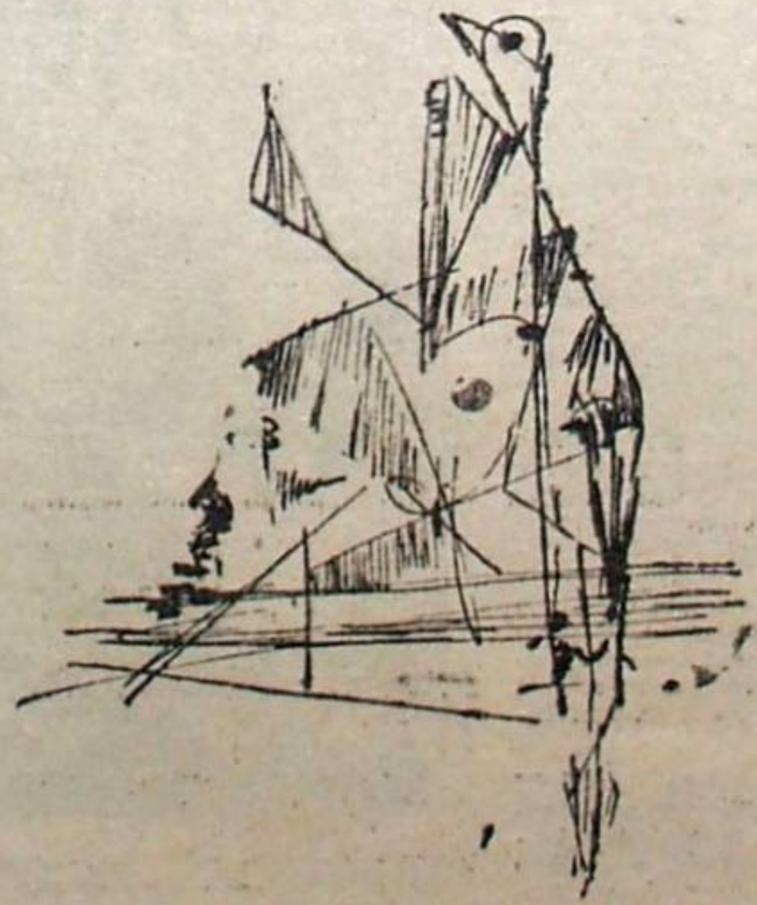

Rys. D. Opolski

Polak – Węgier...

KSIĄŻKA jest szczupła, liczy około 140 stron druku, nie posiada ilustracji, ale jest to książka wartościowa, potrzebna i malownicza. Pod tytułem „Polacy na Węgrzech" Mieczysław Wieliczko zgromadził tyle faktów z historii stosunków polsko-węgierskich, z dziejów naszej obecności w kraju nad Cisą i Dunajem, że gdyby nie uparta pamięć autora o rygorach metodycznego wykładu, cały ten bogaty strumień informacji przelałby się z łożyska pracy popularnonaukowej w jakąś migotliwą rzecz epicką, w której to co ogólne i dalekosiężne inkrustowane jest często szczegółem o wyjątkowej urodzie. Nierzadko przelewa się zresztą, bez żadnej szkody dla czytelnika, który ze zrozumiałych, jak sądzę, powodów nad syntezy historyczne przekłada tzw. goły, a lepiej, gdy jeszcze lekko umorusany fakt.

Nie mam zamiaru streszczać książki M. Wieliczki, jak to czynią zazwyczaj doktoranci uniwersyteckiej humanistyki w przekonaniu, że recenzują coś tam (najczęściej „coś tam" własnego promotora). Wspomnę tylko, że niepomiernie poszerzając stereotypowy obraz zjawiska o nazwie „Polacy na Węgrzech", umocowany nazwiskami Władysława Warneńczyka czy Józefa Bema oraz znanym porzekadłem w zbiorowej pamięci — praca ta składa się zasadniczo z następujących rozdziałów: „Od Arpadów do Jagiellonów", „Zmierzch węgierskiej niepodległości", „W walkach o wolność", „W poszukiwaniu pracy i chleba", „Doba samodzielności obydwu narodów", „Lata II wojny światowej", „Polskie Stowarzyszenie Kulturalne im. Józefa Bema". Wieliczko przedstawił zatem całokształt dziejów polskiego wychodźstwa na Węgrzech, rozpisując problem na tle niepomiernie szerszym, bo obejmującym stosunki polsko-węgierskie oraz ogólniejsze procesy polityczne, społeczne, gospodarcze i kulturalne, profilujące historię od średniowiecza do naszych czasów. Bezsporną zaletą książki jest właśnie ta metoda: ukazania historycznych mechanizmów decydujących o amplitudzie i barwie indywidualnych czy grupowych losów ludzkich. Pierwsza unia personalna polsko-węgierska otwarła Kraków dla kultury włoskiego odrodzenia (wczesnego), trzecia, za Stefana Batorego — umocniła polską stolicę jako ważny ośrodek kształcenia Węgrów, którzy zjeżdżali nad Wisłę z podzielonej ojczyzny, inicjując wyjątkowo żywą działalność wydawniczą. Pisze Wieliczko: „w latach 1527—1550 wyszły w Krakowie 24 książki w języku węgierskim, co stanowi 44 proc. wszystkich znanych dziś druków w tym języku do I poł. XVI w. Pozostałe powstały w 20 miastach Europy, głównie zachodniej". To właśnie w Krakowie Węgrzy niejako dekretowali kształt drukowany i charakter literacki swojego języka narodowego. Na tym nie koniec łańcucha zależności, jako że w II połowie tego wieku Węgrzy przeżywają swoistą inwazję polskiego drukarza i wydawcy, Rafała Skrzetuskiego herbu Jastrzębiec, który pojawił się tutaj okrężną drogą w charakterze, jak byśmy to dziś powiedzieli, emigranta wyznaniowego: z powodu sympatii luterańskich musiał opuścić Wielkopolskę i ulokował się na dłużej w Debreczynie, gdzie pejzaż religijny był raczej mozaikowy. Skrzetuski (a później jego syn Rudolf) wydał wiele pomnikowych dzieł kultury węgierskiej, m. in. kodeks „Tripartitum" Verböczy'ego, używany po części do końca XIX w.

Wyjeżdżali Polacy na Węgry w poszukiwaniu chleba, spokoju, tolerancji i towarzyszy walki o niepodległość. Przed represjami caratu chronili się nad Dunajem uczestnicy powstań narodowych — aby wspólnie z bratankami iść do boju o wolność ich ojczyzny w 1848 roku, kiedy to na czele Krajowego Komitetu Obrony Narodowej stanął Kossuth, nie raz występujący w obronie „sprawy polskiej". Dodajmy, że tenże Komitet powołał generała Henryka Dembińskiego na stanowisko naczelnego dowódcy rewolucyjnej armii węgierskiej.

Po 1870 roku rusza na Węgry wielka fala polskiego proletariatu wiejskiego, znajdując pracę w przemyśle — rozwijającym się wyjątkowo dynamicznie — oraz w rzemiośle. W 1880 roku liczba Polaków na Węgrzech zbliżyła się do 125 tysięcy osób, z czego na stałe w Budapeszcie osiedliło się ponad 2500 osób. Wcześniej, bo w 1874 roku powstała pierwsza polska organizacja emigracyjna: Stowarzyszenie Bratniej Pomocy, utworzone, co typowe w dziejach Polonii różnych krajów świata, przez robotników i rzemieślników...

Miałem nie streszczać książki Mieczysława Wieliczki. Zatem odsyłam czytelnika do dzieła, szczególnie polecając rozdział traktujący o polskich losach na Węgrzech w czasie ostatniej wojny, podczas której, jak wiadomo, państwo to należało do proniemieckiej „osi". Należało, ale fakt ten wcale nie przeszkadzał cywilnym i wojskowym władzom węgierskim w szerokiej opiece nad Polakami, opiece tak skutecznej (i antyhitlerowskiej w konsekwencjach), że kiedy w marcu 1944 roku wojska niemieckie zaczęły rządzić na Węgrzech, wielu wybitnych obywateli tego kraju poniosło śmierć z rąk hitlerowców. Właśnie za pomaganie Polakom, naszym internowanym żołnierzom!

Dobrą, pożyteczną książkę wydało Polonijne Centrum Kulturalno-Oświatowe UMCS w Lublinie w swoim cyklu „Z dziejów Polonii". Przed ewentualnym jej wznowieniem w przyszłości — w wyższym nakładzie — radziłbym przecież autorowi, aby popracował nieco nad interpunkcją i innymi sprawami z obszaru języka. Przy pospiesznej lekturze można tych potknięć nie dostrzec, ale...

„Polaków na Węgrzech" poleciłbym szczególnie gorąco — gdyby nakład był wyższy — tym wszystkim rodakom, którzy odwiedzają brani kraj w celach turystyczno-handlowych.

Może przestaliby nas kompromitować!

IJK

RZECZY PIERWSZE MGLISTE

Marek Sołtysik

SZAL się osunął na krzesło.

— Moim zdaniem — mówił starając się już nie zmieniać pozycji — moim zdaniem sprawa Sylweriusza Damgra wcale nie została rozpatrzona. Obawiam się, że nam nocy nie starczy.

— Dobrze, wszystko dobrze, ale ja, oczywiście ze swej strony bardzo bym chciał się dowiedzieć, czy Damgr istotnie, tego... go, no — no, czy Damgr istotnie właził przez parkan, żeby się dostać do tej przeklętej, do tej po trzykroć wyklętej — dziwki?

— Panie Peldzieł, paanie Peldzieł! — Szal nieco załzawionym, mocno kapryśnym okiem zerknął na twarz i na dłonie pięćdziesięciotrzyletniego, zwalistego w zgniłozielonym szlafroku mężczyzny, który odezwał się nagle po kilku dobrych kwadransach uporczywego, prawdopodobnie niezobowiązującym snem powodowanego milczenia. — Jakież to teraz może mieć znaczenie, panie Peldzieł? Pan kimał, drogi panie.

— Nieprawda, ach nieprawda! Mógłbym powiedzieć, że sobie wypraszam podobne insynuacje, ale na razie się wstrzymam — podniósł znienacka głos właściciel mocno obecnie naszłej krwią twarzy. — Ja, panie Szal, ja właśnie rozmyślałem intensywnie nad sprawą pana Damgra. I doszedłem, proszę to zważyć, doszedłem do wniosku, że pan Damgr jest niewinny. I że wina leży wyłącznie po stronie tej dziwki...

— Jakiej dziwki?

— Orybadzkiej, rzecz jasna.

— I kto — Szal zaśmiał się wyraźnie niezdrowo — i kto panu powiedział, że pani Orybadzka to dziwka?

— Pani! Pani! Od kiedy Orybadzka to... pani? Wciąż przecież trajlowaliście — szerokim gestem rozczapierzonych palców wskazał na zgromadzonych — że dziwką, że dziwka ona jest! I wyrażaliście się o niej jak najgorzej. Zbyt źle, powiedziałbym!

— Lecz sytuacja się zmieniła — wyraźnie powiedział Szal. — A pan, powtarzam, pan kimał w najlepsze, panie Peldzieł.

— I skąd pan tak wie, że w najlepsze? I skąd pan wie, że ja... kimałem?

— Chodźmy, chodźmy, panowie — zaproponował Szal; wstał machinalnie z krzesła. — My tu już dziś nic nie zdziałamy. Bo jakże można w warunkach kiepskich podjąć byle decyzję?

— A idźcie już, idźcie! — ryknął Peldzieł, widząc zbierających się skrzętnie. — Jesteście wściekle zgrana gromadą najelegantszych alfonsów, jakich mi było dane w życiu oglądać. Idźcie już w diabły, w szmaty, bo się wami nad wyraz znużyłem, i nie wracajcie tu wcześniej, jak jutro-późnym wieczorem! Najlepiej gdzieś koło jedenastej. Cześć!

— Do widzenia szanownemu panu! — rozległ się zgodny chór wypieszczonych, z okrągłymi słowami, głosów; zafalowały jesionki, szynele; zaskrzeczał jedyny w tym towarzystwie, specjalnie ohydny ortalion. Zawirowały tyrolskie oraz czarne nowomodne kapelusze, para szerokich czarnych beretów i jeden granatowy — w sam raz na głowę maleństwa.

— Ale...

— Co ale? — dwanaście twarzy obróciło się do Peldzieła.

— Ale rozważając sprawę Damgra miejcie na uwadze jego paskudną sytuację!

— Ale — ale... — rozległy się nagle spokoju pełne głosy.

Ktoś teraz dopiero skrzętnie wycierał buty, na których dawno już wyschło błoto, i, skruszałe, wiele pozostawiło żółtawych grudek na błękitnym dywanie Peldzieła.

— No! — odetchnął Dysław Peldzieł, energicznie strzepnął z blatu biedny zezwłok muchy, uważnie weń się wpatrując. — Nno! Za bardzo jestem chory, żeby im o tym mówić...

— Mówiłeś coś, prosiłeś o coś?

— Ależ skąd? Nie, nie moja droga. — Całkiem kanciasto wzrok przeniósł z martwej na dywanie muchy na żonę, która zwinnie i trochę jak kot pokręciwszy się około kanapy, wpełzła na nią z nogami. Była jakby kobietą odrażającą — takie przynajmniej krążyły pogłoski; nic bardziej chybionego: Wira Peldziełowa, o równo trzynaście lat młodsza od męża, twarz miała może nie aż piękną, może nie bardzo ładną nawet, ale przeraźliwie frapującą — co wrażliwszych skłaniającą do natychmiastowych analogii. Z czym? Z czym?... Porównania nie wychodziły jednak, widać, na jej korzyść: zastanawianie się nad właściwym nie szło także na korzyść, ba! na zdrowie mężczyzn wplatających się w ich sieciowir — marnieli.

Twarz Wiry, bo zacząć wypada od twarzy, cerę miała o cudownie białoróżowej karnacji, jaką tylko wyjątkowo spotkać można u naprawdę pięknych dzieci — jasnowłosych; lecz włosy Wiry wprost kruczo były, wprost z przebłyskami czystej ultramaryny; czy naturalne? kto to wie — zestawienie w każdym razie przepyszne.

— Wiro — —

— Tak?

— — —

— Mówiłeś coś?

— Beherlm... Nn — —

— Nic?

Powoli, bardzo powoli, z wyszukaną gracją (?) zamykała i otwierała Wira ogromne swe, całe w najjaśniejszej zieleni Veronesse'a oczy, poważnie nadwątlając frazes „mgnienie oka". Mówiła chętnie — lubiła mówić często — acz bez zaciekłości; otwierała przy tym szerokie jak środkowy palec tęgiego mężczyzny, czerwonoporzeczkowe usta, odsłaniając maleńkie zęby, mocno zbrązowiałe; w otoczeniu najświeższych warg — omal podniecające. Nos — niewielki, kształtny — pozostawał zwykle niezauważony.

— Bacha? — spytała niedbale, skromnie się przeciągając.

— Puść! — zgodził się Dysław Peldzieł, nie bez lekkiego ożywienia.

Wstała, raz jeszcze lekko się przeciągnęła i krokiem mającym coś z podanego na pastwę wiatru piórka podeszła do gramofonu. Być może, iż na pospólnie nieuczciwe nazwanie jej odrażającą wpłynęła okoliczność, iż Wira, kobieta nader zgrabna, wypielęgnowana, w doborze kosmetyków i garderoby wykazująca najprzedniejszy smak, nie potrafiła sobie — jako osoba z wybitnie rozwiniętą wyobraźnią — odmówić pewnego od ogólnie i chyba rozsądnie przyjętego porządku odstępstwa; otóż Wira Peldziełowa — jakiż nieugięty charakter, jaka dojrzałość — n i g d y nie miała na sobie biustonosza. Teraz, przy gramofonie, przy stoisku płyt z muzyką poważną i w ostrym świetle lampki dobywającej z półmroku aparat, kaprys Wiry w y c h o d z i ł na jaw — omal na wierzch. Biust Wiry opinał dokładnie słoneczny trykot: na jaw: biust Wiry; biust Wiry: biust pełnej fascynujących tajemnic Wiry oczywisty był, wyraźny jak na dłoni (!?): dwie proporcjonalnej wielkości piersi nie wiadomo kiedy opadły na właściwą im klatkę, by trwać tak w bezprzykładnym lenistwie, w nieskrywanej, nieco rzeczywiście obrzydliwej obojętności.

— Co? — spytał łapczywie Peldzieł.

— Partita g-moll „Sei gegrüsset", BWV 768 — odparła bez zająknienia.

— Achch...! — I Peldzieł zatarł ręce.

Nieco pochylił w bok głowę — ów gest zachował jeszcze z czasów gimnazjalnych, kiedy to co najmniej raz w miesiącu chadzał na koncerty — wskazujący palec przyłożył do skroni, zupełnie jakby chciał ją przebić — podczas napadów migreny robił to dosadniej — wygodnie rozstawił nogi.

— Oto jak ma wyglądać słuchacz przyzwoity — szepnęła cichuteńko i z sarkazmem Wira, lecz pierwsze dźwięki leżajskich organów sprawiły, iż słowa te postrzępiły się, aby ulecieć w nikczemną nicość.

—Wszystko to dobrze — powiedział wysłuchawszy w spokoju Dysław Peldzieł — wszystko to ładnie — pięknie, ale — tu spojrzał na Wirę prawdopodobnie badawczo — ale ja się dziś skompromitowałem — Co!?

— Nie!

— Nie i nie... Stale tylko nie i nie! Czy ty mnie czasem nie masz za —za trupa, Wiro?

— Nie!

— Dobrze. Więc po co oni tu przyszli?

— Pożartować.

— Ee — —

— No, a co? A co? — zawahała się Wira.

— To j a ciebie p y t a m!

— Ach... a dajże już spokój z tą twoją stałą podejrzliwością, Dyśku. Zasłużyłeś sobie na spokój...

— Wieczny. Amen. Spokój, spokój! Gdzie?! Tu? Tutaj, w tym mieście? Tak? Tak?... Wiesz Wiro, powinnaś się wstydzić. Albo... albo marsz! Tak, albo marsz stąd, z tego domu — bo może się tu dusisz, hę?... Gdzie-eś — zatoczył w powietrzu zupełnie nieokreśloną formę — gdzieś tam... Tak. Może cię jaki wspaniałomyślny młodzian przygarnie, otrze twe włosy z wiecznego deszczu...

— Dysław?!

— Nie, nie, nie, nie, zanędziłem... Tak, tak, tak, zapędzić się człowiek może... Nie szkodzi.

— Szkodzi!

— A tam! Cicho! Wiedziałaś, że udawałem?

— Jasne.

— Nie jesteś pewna, aha!

— Jestem zupełnie pewna.

— Zmartwię cię, Wiro.

— Taak...?!

— Tak. Spałem istotnie. Zasnąłem nie wiedząc kiedy.

— Tyy! Ty, Dysław, ty?

— Ja. Tak. Mam dość. Do licha z tym stałym udawaniem, maskowaniem istotnych uczuć! Ty przecież sama doskonale widzisz, co się dzieje. Przecież nieraz wcześniej o tym rozmawialiśmy. I co? Ostatnia nasza o tym rozmowa odbyła się — sprawdziłem — równo trzy lata temu.

— Bo to nie ma sensu.

— A tak, wiem, że łatwo wypowiedzieć to zdanie. Zbyt łatwo, zdaje mi się. Wszyscy teraz tak sobie albo ogólnie mówią... O nie, Wiro, sens jest, a jakże — tylko że większa część ludzi z Omadnic wmówiła sobie, że w ich psychice zanikł po prostu — po prostu! — instynkt buntu.

— Bo bunt w tym przypadku nie ma sensu. Uspokój się, Dyśku.

— Nurt rzeki nigdy nie wygładzi szlachetnego kamienia!

— Dysieczku...

— Baba! Koza! Pupdlo.

— Noo... No, Dyś...

— Właśnie, właśnie! Dyśku, Dysieńku — to to! Otóż i wybitny absurd! Kwas słodyczy kobiecej wżera się w powierzchnię szlachetnego kamienia — po to tylko, by się stał on podobny kamieniom pośledniem, podatnym! I tak dzieje się każdego wieczoru w każdym domu w Omadnicach. I bunt, najpiękniejszy, pierwotny, powiedziałbym, bunt tym sposobem wyrodnieje: przeradza się w formy, foremki i formiątka bunt zastępujące; są one głupie, z buntem nie mają kompletnie nic wspólnego, a wyrażają się knowaniem wstrętnych intryg, wymyślaniem coraz to nowych tak zwanych kawałów, rzekomym zadowoleniem z życia. Wyrządzaniem wzajemnych krzywd, stopniowym nadgryzaniem gałęzi indywidualności... Jest w zachowaniu tych mężczyzn wiele z eunuchowatości, i tutaj absurd główny drugi, wszak wiemy, iż w swych wieczornych, rodzinnych i pełnych kobiecego ciepła domach wykazują się oni dobrą męską potencją. Ersatz, Wiro, to rzecz w złym guście — nie wiadomo z jakich tam świństw przyrządzona.

— No no, mój drogi, powiedziałeś ślicznie i w miarę wyczerpująco. Wyczerpująco aż tak, że i ciebie, obawiam się, mogła wyczerpać ta tyrada... Poczekaj — dłonią dała mu znak, by nie zaprzeczał — zaraz, zaraz. Mój drogi, jesteś rozsądny i zdajesz sobie sprawę, że bunt w Omadnicach kompletnie nie ma racji bytu. Deszcz pada tu nieustannie od szesnastu lat, nawet najwybitniejsi stwierdzili, że nie ma żadnych nikłych nawet szans na powstrzymanie jego żywiołu, czy może raczej żywiołku, bo to, co pada, co kropi nieustannie, to w gruncie rzeczy jakaś przerośnięta, prawda, mgiełka... Co się tu oszukiwać? Wszyscyśmy się przyzwyczaili do tej parszywej anomalii — szesnaście lat, szesnaście lat, Dyśku — w ciągu szesnastu lat można przywyknąć do nękającej choroby, do kalectwa spadłego niespodziewanie, jednym słowem, rozumiesz, do jakiegoś nagłego braku, do cierpienia...

Przerwała — poruszona chrząkaniem Peldzieła. I mimo że przerwała, daremnie oczekiwała wpełznięcia bezpiecznej ciszy. Po minucie musiała spojrzeć na męża, który chrząkał — znacząco i z jakąś okrutną regularnością. Z wzrokiem utkwionym w ciężkiej, niedowładnej, jakby zastygłej dłoni prawej ręki.

— No co? — spytała zalękniona i, jak na zawołanie, czuła.

— Pomyślałem sobie, Wiro, że aura jest chora, no, nie wiem, może tylko kapryśna; mniejsza! Ale ludzie!? Ci ludzie są zupełnie zdrowi! Rozumiesz, o co mi idzie, rozumiesz? Oni poddali się od razu temu, jak to nazywasz, żywiołowi, który przecież otacza ich — na zewnątrz. I od razu, zda się, zapomnieli o swoich przeddeszczowych, mocnych nie jeden raz przekonaniach, o zasadach, jakie w sobie przez dziesiątki lat umacniali. I jeszcze jedno: zdaje mi się, że w ciągu tych szesnastu lat pozwolili, by uleciały od nich wzniosłe przeddeszczowe uczucia, namiętności... Dali się ogłupić stanem, jak mniemali, przejściowym. I tak opanowała ich stagnacja — jeszcze gorzej: lenistwo — i nie potrafią już teraz dostrzec zalet stanu, którego nazwa: sam na sam z samym sobą.

— Ty chyba troszkę przesadzasz, Dyśku. Może nie jest aż tak źle. — Wira powoli dobyła spod pośladka prawą nogę, wysunęła ją zaraz do przodu, aby po chwili stopniowo unosić w górę. Peldzieł spojrzał odruchowo, lecz natychmiast odwrócił wzrok ku załzawionemu, pełnemu smętnej szarości oknu.

— Właśnie, właśnie! — powiedział zdecydowanie tak, że głos jego echem się odbijający od czerwonawych, obwieszonych małymi, ciemnymi dziewiętnastowiecznymi portretami ścian zabrzmiał na podobieństwo mocnego efektu wbicia ostrego noża w zwartą i prężną polać mięsa. — Ty stajesz się im podobna! Ty gadasz: troszkę; ty gadasz: chyba. Dla ciebie bodaj że już nie istnieje: tyle a tyle; dla ciebie nie istnieje: tak, przestało istnieć dla ciebie prosto: nie!

— Ale...

— Niechaj wasze słowa będą: tak, tak; nie, nie. A co inne jest, od złego jest. Jakoś tak mówi Pismo.

— Jakoś tak... Ha! Ha! Wobec tego twoje „jakoś tak" też od złego jest!

— Po prostu łapiesz mnie za słówka!

— Jak i ty mnie. Nie warto, wiesz, gonić w piętkę. Zamiast za słówka, wolałabym, żebyś mnie złapał za coś o wiele bardziej konkretnego; ty wiesz, jak bardzo to lubię... Ach! I ty, i ty, Dyśku, to lubisz Noo...O!

— Ty... ty jak zwykle bezwstydna... Ale jaka cudowna — swobodna! Ech, jak ja uwielbiam w tobie tę swobodę... Między innymi za to cię kocham...

— Za to? — uniosła okrytą trykotem pierś.

— Za to, za to i za to! — Dysław Peldzieł przybliżał się do Wiry w gwałtownych a niezgrabnych pełnych jednakże witalności pląsach.

•

Szal, Lucjan Szal, rzetelny urzędnik, gdy tylko opuścił kruszejącą, z jakimiś zupełnie obsurdalnymi kolumnami willę Peldzielów, natychmiast pożegnał się z mężczyznami, których zwał przyjaciółmi. — No, nie ma dyskusji! — uciął krótko próby perswazji podnieconych. — Rozejść się, moi drodzy, i jutro, tak gdzieś przed jedenastą u Dysława. Żeby mi żadnego z was nie brakowało — zdrowia więc życzę! Do zobaczenia i do usłyszenia.

Dokończenie na str. 12

RZECZY PIERWSZE MGLISTE

Dokończenie ze str. 11

— Proponuję, byśmy spotkali się wcześniej w celu manowy — wystąpił Albert Treblada.

Zaraz też zaszemrało w grupie. Szal się rozejrzał dokładnie. Rzekł:

— Ależ panowie! Ee, panowieście słyszeli, co wygaduje Treblada? No nie! ja jestem do cna oburzony. Przecież to byłoby już świństwo. Grubymi wyszywane nićmi.

— Właśnie — wyrwał się z tłumu nieruchawy zwykle Adolf Niepogólcz. — Uważam, że nadszedł czas, żebyśmy zostawili w spokoju biednego Damgra.

— Nonsens! To już zupełnie inna sprawa! Przecież tu chodzi o formę, panie Adolfie — wycedził nienawistnie Szal. — Treść pozostaje bez zmian i nikt pana nie prosił o tego rodzaju wystąpienie, które jest, pan wybaczy, normalnym wprowadzaniem fermentu.

— Lucek, Lu-ucek! — zawył po psiemu Niepogólcz; pochylił się i wykonał próbę w dłoń Szala pocałunku. Ów odtrąciwszy go zdecydowanie, zaśmiał się w stronę do odejścia się zbierających, cichych już i całkiem pokornych:

— On chorutki, on już się zupełnie nie zna na żartach. Przecież wszyscyście widzieli, że nawet nie zamierzałem się obrażać... No, idźcie z Bogiem, ruszajcież. Idź i ty bez wyrzutów sumienia, Adolfie.

— Co się stało? — wybąkał ośmielony Niepogólcz. Szybko otarł z twarzy krople deszczu i pot; tym samym sczesane brwi jego omal zakryły oczy.

— Nnic! no naprawdę nic — żachnął się Szal. — Nic, nic, tak sobie.

Stał bez ruchu i patrzył za odchodzącymi. — Cholera — powiedział półgłosem — idą w grupie, wciąż w grupie; ciekawe, do kogo? Oj, to niedobrze, to już całkiem kiepsko... Do diabła! czemuż się nie rozchodzą? „Będę jutro musiał poruszyć tę sprawę". Gdy spostrzegł, iż niektóre głowy ciekawie się ku niemu obracają, ruszył zdecydowanie w przeciwnym kierunku. Dobiegł do skrzyżowania głównych ulic, i bezpieczny, już zza węgła domu obserwował kompanów.

— Raz, dwa, trzy: teraz idziesz ty — wyszeptał rytmicznie i zatarł ręce, kiedy mężczyźni zatopili się w zielonawym mroku. Skradającymi się krokami ruszył na powrót w stronę domostwa Peldzielów. Obszedł willę wokoło. Przekonawszy się, iż w saloniku, gdzie obradowali, zapadła ciemność, sprawnie wyuczonym gestem nieledwie przefrunął ku rozświetlonemu ciepłym blaskiem weneckiemu oknu sypialni. Szybko odnalazł szparę w ciężkiej lecz nieco sztywnej pluszowej storze, bez entuzjazmu wypatrzył poprawną erotyczną scenę — rozsypane na poduszce krucze włosy Peldzielowej, otłuszczone ramię Peldziela i powolne pod kołdrą ruchy, z dużym różowym abażurem nocną lampkę — westchnął, i krokiem godnym dotarł do drzwi wejściowych. Spokojnie wyciągnął zapałkę, nieco obgryzł bez siarki koniuszek, po czym, jakby to była codzienna czynność, tak spreparowaną wetknął ją w szparę między przyciskiem uruchomionego dzwonka. Odchodził krokiem należytym, lubo jednakże się wsłuchując w natarczywy migotliwą jednostajnością dźwięk.

Nie wytrzymał. Musiał; Szal musiał schronić się w chaszczach. Przyczajony — oczekiwał na rychłe, może lękliwe, może z wstrętnym na ustach przekleństwem wyjście Peldziela. W obawie, że a nuż nie wytrzyma pełnego dlań zabawy widoku i parsknie śmiechem serdecznym, przytknął do ust chusteczkę; była nieświeża — entuzjazm Szala przygasał stopniowo. Urwał się dźwięk dzwonka; w tym samym momencie — Szal dostrzegł to trochę później — zgasła lampka na ganku.

— Mają automatyczne bezpieczniki, spryciarze! — westchnął i splunął. Odchrząknął. Zgaszone światła zgasiły na czas jakiś na bezmyślności wyrosłą aktywność Lucjana Szala. Noga za nogą — powlókł się w stronę ulicy Zamkniętej. Mieszkał tam, w posesji pod numerem jedenastym, z żoną i czworgiem drobnych dzieci. Myśl o córeczce najmłodszej, dla której niósł pogrążone teraz w czeluściach teczki pyszne irysy — zaplanował, że włoży je pod poduszkę śpiącej, by rankiem zapalała wdzięczną radością — nie pozwoliła dojść do głosu beznadziejnej, smutnawej nudzie.

Zaszedł mu drogę trzydziestoletni najwyżej mężczyzna. Powiedział parę słów, które jednak nie doszły do Szala, gdyż ten, nieufny wobec długich włosów nieznajomego, natychmiast się cofnął — zamknął się w sobie. Następnie, dla ogólnego spokoju, przyłożył do ucha zwiniętą w trąbkę dłoń. Przybysz nie przybliżając się powtórzył głośniej:

— Czy mógłby mi pan wskazać drogę do willi Damgra? — I jakby tonem usprawiedliwienia: — Wie pan, bardzo pusto tutaj, a ja w Omadnicach znalazłem się po raz pierwszy.

— To właśnie pan jest tym kuzynem Damgra?

— Tym?

— No tak — zmieszał się nieco Szal — tak się akurat składa, że znam Sylwka... On już od dłuższego czasu się odgraża, że przyjedzie do niego kuzyn stamtąd.

— Przepraszam, jak pan powiedział? Odgraża?

— Aech, nie nie, żarty... To takie sobie, ot, żarty, panie...

Nie doczekawszy się nazwiska, czy imienia nieznajomego, pomyślał w najgłębszej skrytości: „Butny to on jest, pewnie jeszcze gorszy niż Damgr, no tak, ta sama krew" — i doznawszy nagłego olśnienia skwapliwie mu wskazał majaczący w deszczowej mgiełce masyw willi — Peldzielów. Gdy młody mężczyzna, podziękowawszy mu, zamierzał się udać w tamtym kierunku, Szal zatrzymał go chwytając za ramię, i dodał już ożywiony:

— Tylko tam jest dzwonek zepsuty, Damgr sam go nie naprawi, bo, jak pan wie pewnie, nie zna się on na elektryce... Trzeba w drzwi walić w miarę mocno, bo tam już śpią...

— Śpią? — przybyły zawahał się. — Przecież Sylweriusz mieszka samotnie.

— Ano nie wiem, nie wiem. — Była zagadka w odpowiedzi Szala; zagadka — pomoc, którą przywołał z chwilą dojścia, iż grube w jego informacji kłamstwo niebezpiecznie wyłazi z rozprutego szwu gładkich słówek.

— Dobranoc. I do zobaczenia — rzekł na ostatecznym odchodnym nieznajomy.

Coś jakby zerwało się w Szalu. Doskoczył do odwróconego. — Pan chce tu zostać na dłużej?

— Oczywiście... — zatrzymał się i uważniej popatrzył na Szala. — A co?

— Nie warto, panie, nie warto!

— Do widzenia panu.

Chciał coś odpowiedzieć Szal, lecz się zachłysnął. Kilka naraz kropel nasilającego się deszczu wpadło mu w otwarte usta. Krztusząc się, biadał w duchu nad swym nieopanowaniem. „On mnie później na pewno pozna, z pyszna się będę miał, kiedy wyjdzie na jaw mój podstęp. A taki byłby udany... I wiele innych spraw może poświadczyć przeciwko mnie... Ale przecież nie było świadków. A zresztą — taki jestem niepozorny..." Wątłe próby uspokojenia czemuś nie zdołały naprawić humoru Lucjana Szala. Ostatecznie zrezygnował z możliwości obejrzenia skutków afery, w którą za jego sprawą miał zaraz się wplątać długowłosy przybysz. „Cierp ciało, kiedyś chciało" — pomyślał boleśnie a niezbyt zrozumiale. Zaraz też się potknął na wystającym idiotycznie ze szpary między płytkami trotuaru drucie.

Rozżalony, podnosząc się z blocka, ujrzał zbliżającą się ku niemu postać... w której rozpoznał Sylweriusza Damgra... i w tymże momencie począł udawać nietrzeźwego: zanucił srogim bełkotem jakąś prostą, okolicznościową melodię, zatoczył się i nawet nie próbował oczyścić zabłoconego płaszcza.

— I takem pana poznał — żartobliwie się zwrócił do Damgra. — Poznałem, mimo że po pijaku, szanownego pana magistra. Zdrowie?

— Nie całkiem jeszcze źle — odparł nagabnięty. — Świętuje pan coś, widzę.

— Dlaczego?

— Nieczęsto pan pije.

— A czy to ja jestem pijany? — próbował Szal. — Ja jestem najzupełniej... bngreulo.. pardon — trzeźwy!

— No no! No, dobrze. — Niece rozchmurzył się Damgr. — Skoro pan trzeźwy, to może mu pan zechce powiedzieć, czy czasem nie przechodził tędy jakiś mężczyzna.

— Znaczy się facet! — Szal się zataczał poprawnie. — Panie, gdybym tu babę zobaczył, to bym jej pewno nie darował... — Tu spojrzał wymownie na Damgra. — A facet? I owszem, przechodził tędy cały pułk kawalerii, cha cha cha!... Panie! kto tutaj chadza o tej porze, puknijże się pan — za przeproszeniem... I panu też bym radził siedzieć w domu, telewizję jaką oglądać...

— Dla kogo innego niech pan zostawi rady. Może pana odprowadzić?

— Dla kogo innego niech pan zostawi podobne propozycje. Obejdzie się.

— To dobranoc.

— Dobranoc, dobranoc, śledzik w cukrze na noc!

Od niedawna widok Szala budził w Sylweriuszu Damgrze niechęć tuż tuż graniczącą z odrazą. Poza tym tak się jakoś składało, iż gdy zdarzyło mu się spotkać urzędnika, popadał w niewytłumaczalne tarapaty; mniemał — wrażliwy — iż owe niepowodzenia nie mają racjonalnych przyczyn: częściej go zaczęły nawiedzać ponure i wiele absorbujące siły stany lękowe. Wczoraj doręczono mu telegram zawiadamiający o przyjeździe kuzyna — co miało właśnie dzisiaj nastąpić. Damgr, nim wyszedł na dworzec, długo przygotowywał się na podjęcie kuzyna; sprzątanie mieszkania; częste chwile zadumy, wreszcie doprowadzanie do jakiego takiego porządku swego wyglądu sprawiły, że czas, zwykle wlokący się jak stary chory ślimak, wykonywał dziś nadnaturalne przeskoki: sprawiły, jednym słowem, że Damgr się spóźnił na pociąg, którym przybyć miał wyczekiwany. Wyczekiwany — bo też wiele się po przybyciu kuzyna spodziewał.

Szedł teraz powoli, bardzo powoli, paląc papierosa za papierosem; całkiem poważnie się zastanawiał, czyby nie należało w najbliższym czasie opuścić Omadnic; pewny był teraz, że wyjechałby właściwie bez żalu, że nic — no, może wyłączając tę przepiękną pełną nastroju gotycką katedrę — przez pełne trzy lata nie zdołało go do tej miejscowości przywiązać. „Jakiż to żal bez żalu opuszczać jakieś miejsce" — pomyślał.

Przechodząc nie opodal willi Peldzielów usłyszał podniesione głosy, w promyku latarni zobaczył ledwo uchwytne gesty szarpaniny. Cenił Peldziela, Wirę darzył zainteresowaniem, może nawet sympatią, lecz owej nocy najmniejszej nie miał ochoty na rozmowę z nimi, na rozmowę z kimkolwiek; parę zdań zamienionych z naprawdę dziś obleśnym Szalem wytrąciło go z równowagi. Zatrzymał się na moment; pozostając w cieniu i w bezpiecznej od ganku odległości zastanowił się, czy Peldzielom niezbędna jest pomoc, lecz donośny teraz, wszelką wykluczający niepewność głos gospodarza ukoił go i pozwolił kontynuować pozornie pogodny, z ciężkim bagażem niepokoju spacer. — Powinienem był pana zatrzymać do wyjaśnienia, czy jak tam, ale dam sobie z tym spokój! Oby i pan miał spokojną noc! dobiegły go słowa Dysława, i zaraz potem inne, zgaszone i cichym wypowiadane głosem: — To, to okropne jakieś nieporozumienie — — Ostre trzaśnięcie drzwi z płaczliwie chybotliwym dźwiękiem zluzowanej szyby — — nie. — —

Sylweriusz Damgr znacznie przyśpieszył kroku, z całych sił starając się uniemożliwić spotkanie z wyproszonym — kimkolwiek by on był. Czuł w sobie jakiś ból: mdlący, najwewnętrzniejszy z wewnętrznych. Biegł coraz szybciej — coraz bardziej, aż do zgrzytu zaciskając zęby.

Marek Sołtysik

Fragment powieści „Sztuczne ruiny", która ukaże się nakładem S.W. „Czytelnik".

Mój drugi język

Tomasz Chmielik jest studentem II roku filologii germańskiej UMCS. Od roku jest członkiem Światowego Związku Esperantystów.

— Jak zaczęła się Twoja przygoda z esperantem?

— W 1973 roku ukończyłem korespondencyjny kurs esperanta. Stworzyło mi to możliwość kontaktów z esperantystami z całego świata. Tłumacząc wiersze współczesnych poetów polskich na esperanto, spróbowałem sam tworzyć w tym języku.

— Jak mi wiadomo nie bez sukcesów...

— W wielu krajach są organizowane międzynarodowe konkursy literackie. Kilkakrotnie brałem w nich udział. W 1974 roku w Ascoli Piceno (Włochy) otrzymałem wyróżnienie za wiersz, a w rok później, również we Włoszech, honorowe wyróżnienie jury za poemat, ponadto drugą nagrodę za sztukę teatralną na konkursie w Barcelonie.

— Przyznasz jednak, że esperanto nie jest zbyt rozpowszechnione w Polsce.

— Według danych z 1971 r. około 2,5 mln ludzi na świecie posługuje się tym językiem, w Polsce zaś ponad 100 tys. osób. Największym powodzeniem cieszy się esperanto w Bułgarii, Holandii, Jugosławii, a poza Europą — w Brazylii, Japonii i Wietnamie. Fakt niezbyt dużej popularności w Polsce dziwi choćby z tego powodu, że Polska jest ojczyzną tego języka. To właśnie u nas, w 1887 r. w Warszawie, ukazał się pierwszy podręcznik esperanta Ludwika Zamenhofa. Obecnie esperanto to nie tylko język, ale zorganizowany ruch międzynarodowy, stwarzający możliwość zbliżenia między narodami, wymiany osiągnięć wiedzy w różnych dziedzinach, także kontaktów personalnych.

— Jakie są zalety tego języka?

— Język ten cechuje prosta struktura, prostota form gramatycznych, trafny dobór słownictwa, które oparte jest na międzynarodowych elementach leksykalnych. Korespondencyjną naukę esperanta można rozpocząć w każdej chwili w Polskim Związku Esperantystów.

— Czy można mówić o praktycznej funkcji esperanta?

— Na całym świecie wydaje się wiele książek i periodyków w tym języku, organizuje się kongresy, spotkania, obozy i seminaria, na których esperanto jest językiem oficjalnym. Znajduje również coraz szersze zastosowanie w turystyce, handlu i informacji. W sierpniu 1978 r. odbędzie się w Varnie 62 Światowy Kongres Esperantystów. W tym roku zjazd taki odbył się w stolicy Islandii.

— Jaki jest Twój udział w ruchu esperanckim?

— Ponieważ sam interesuję się literaturą i piszę, ograniczam się do popularyzacji polskiej literatury za granicą, ze szczególnym uwzględnieniem najmłodszych twórców. Muszę się przyznać, że ufundowałem międzynarodową nagrodę dla poetów młodego pokolenia piszących w języku esperanto. Jest nią miesięczny pobyt w Polsce. Nagroda została zaakceptowana i ogłosiło ją wiele zagranicznych pism esperanckich.

Rozmawiał: **Jerzy K. Misiec**

PRASA LUBELSKA PISAŁA

PRZED 100 LATY

* Magistrat miasta Lublina podaje do wiadomości, że z powodu ekspirowania w dniu 1 lipca rb. kontraktu na oświetlenia naftą Magistrat ogłasza niniejszym konkurs na oświetlenie gazem, z zaprowadzeniem kosztem przedsiębiorcy rur i odpowiedniego zakładu. Liczba latarni na początek ma wynosić 350, oświetlenie potrzebne będzie na 3636 godzin w ciągu roku, a przestrzeń dla ułożenia rur wyniesie wiorst 12.

Na zasadzie przyzwolenia mieszkańców oświetlenie domów i wszelkich zakładów pozostawia się przedsiębiorcy, z warunkiem zniżenia ceny w miarę powiększenia obstalunków i ułatwienia w dostawie materiałów równie jak i produkcji gazu, lecz to nie przeszkadza osobom prywatnym wyrabiać gaz na własną potrzebę.

Płac na zakład przedsiębiorstwo otrzyma od miasta bezpłatnie. Na własność przedsiębiorstwa oddane będą przysługujące dotąd latarnie, lampy, słupy żelazne i konsztejny, cały zakład z budowlami i wszelkimi przynależnościami przejść ma na własność miasta bez wynagrodzenia.

„Gazeta Lubelska"

PRZED 50 LATY

* Straż Pożarna Ochotnicza w Lublinie powstała w roku 1919 i od tej pory wszelkie swe siły mieszkańcom miasta niesie. Pomimo braku środków materialnych wyłącznie dzięki poświęceniu i energii swych członków jest już sprawna, wyszkolona i uzbrojoną w dobry tabor. Straż Pożarna Ochotnicza liczy obecnie 80 członków czynnych na dwie remizy, jest zdolna do walki z najgroźniejszymi pożarami i stanowi poważną rezerwę Miejskiej Straży Ogniowej Zawodowej, która bez pomocy naszej nie byłaby w możności zapewnić miastu należytego bezpieczeństwa. Jeżeli więc dla Was pracujemy poświęcamy swój czas, swoje mienie a nawet nieraz zdrowie i życie. Wy obywatele winniście nas poprzeć ofiarą najmniejszą, bo tylko ofiarą grosza.

* Sprawa budowy elektrowni w Lublinie była aktualna przed wojną, były już podpisane odnośne umowy, zabiegali o koncesję „Siła i Światło" Belgijskie Towarzystwo i w okresie kilkunastu lat była w fazie pertraktacji, aż wreszcie dzisiaj to dochodowe i konieczne przedsiębiorstwo dla miasta powstaje.

W lecie przy obecności licznych obywateli miasta tradycyjna łopatą pierwszy dołek na miejskim placu, wykopał b. Prezydent, niezadługo przed swym ustąpieniem i może kurzem byłby zasypany i trawą zarósł gdyby nie zdecydowane stanowisko obecnego Prezydenta, który zrozumiał, że nie czas namyślać się, należy działać szybko i w najniekorzystniejszych warunkach zwalczył wszelkie finansowe trudności, rozpoczynając budowę gmachów elektrowni i zamawiając potrzebne maszyny. Budynki elektrowni niebawem zostaną ukończone i rozpocznie się ustawianie maszyn. Elektrownię obsługiwać będą dwa turbo-zespoły o sile 1400 KM każdy o początkowym napięciu 6600 V, zamówione w Szwecji kotły wysokoprężne o ciśnieniu 22 atm., wykonane przez firmę „Fitzner-Caper" w Sosnowcu. Rozdzielnię wykona i zamontuje Polskie Towarzystwo Elektryczne — wytwórnia maszyn elektrycznych w Warszawie — chluba polskiego przemysłu szybkim tempem rugująca zagraniczną tandetę eksportową z Berlina i Wiednia. Konstrukcje żelazne gwoli pośpiechu oddano Laura-Hucie, budowlane roboty prowadzi firma „Ulen — Coper". Tempo robót jest bardzo przyspieszone i praca na dwie zmiany po paruset ludzi. Budynki i maszyny będą ustawione w maju, przerzucenie sieci i przeprowadzenie kilkudziesięciu kilometrów kabli jest już pracą drugorzędną, tak że jest absolutna pewność, że na jesieni zabłysną lampy z własnej miejskiej wytwórni.

„Ziemia Lubelska"

* Niedawno na łamach prasy lubelskiej toczył się spór na temat zajścia, jakie miało miejsce w autobusie na tle taksy przejazdowej. Jeden z obywateli miasta Lublina, zupełnie słusznie, nie chciał zapłacić wyższej stawki, uważając, że zarząd autobusowy nie jest w ogóle uprawniony do samowolnego podnoszenia cen biletów. Źródło nieporozumienia leży zgoła na innej płaszczyźnie. W pierwszej połowie grudnia ub. r. zarząd spółki autobusowej złożył w Magistracie zawiadomienie, że mając polecenie utrzymania ruchu do godz. 3 w nocy podwyższa w godz. od 12 do 3-ej stawkę przejazdu o sto procent. Zawiadomienie to do dnia dzisiejszego leży w Magistracie lubelskim bez odnośnej opinii i wniosku. Na tle nieogłoszenia podwyżki, niewyrażenia opinii przez Magistrat, rosną owe nieporozumienia, które później znajdują echo w prasie.

Mimo woli ciśnie się uwaga: dlaczego Magistrat nie załatwił sprawy taksy przejazdu dorożkami automobilowymi? Jak dotąd przejazd kosztuje 1,50 zł z podwyżką 25-procentową w godzinach nocnych. Nieproporcjonalność podwyżki stuprocentowej w autobusach, do 25% w taksówkach jest rażąca i zagadkowa.

„Głos Lubelski"

Wybrała: Anna Orzechowska

Jak się czuje Beata Tyszkiewicz?

Fot. K. Woch

— *Czy czuje się Pani gwiazdą filmową?* — zapytano aktorkę podczas spotkania z publicznością w Międzynarodowym Klubie Książki i Prasy przy ul. Leonarda w Lublinie.

— Nie. Ale jeśli państwo sobie tego życzą mogę odpowiadać na pytania jak gwiazda.

— *Ostatnio rzadko widujemy Panią w filmie...*

— Jest to związane z obowiązkami rodzinnymi. W ubiegłym roku powiększyła się ona o córeczkę.

— *Czy lubi Pani występować w filmach zagranicznych?*

— Nie we wszystkich. Praca z obcymi zespołami filmowymi jest bardzo trudna; wymaga czasem wielkiej cierpliwości. Myślę jednak, że współpraca taka jest z wielu względów potrzebna no i chyba w sumie — ciekawa.

— *Czy mogłaby Pani powiedzieć coś o najnowszej roli w filmie Królikiewicza „Tańczący jastrząb"?*

— Opowiadać o filmie nie ma chyba sensu, tym bardziej, że niebawem zobaczą go państwo w kinie. Rola w „Tańczącym jastrzębiu" nie należała do najłatwiejszych. Nie znaczy to wcale, iż z zagraniem jej miałam specjalne kłopoty, a jeśli już — to z moim partnerem Franciszkiem Trzeciakiem, którego musiałam sobie, nie bez wysiłku, zjednać, by potem spokojnie grać na planie.

— *Kto ma największy wpływ na Panią — jako aktorkę?*

— Operatorzy filmowi. Oni imponują mi szaloną inteligencją, wielkim wyczuciem i wrażliwością. Są to ludzie, od których często zależy więcej niż od reżysera. Oczywiście jeśli są dobrymi fachmanami.

— *Z jakimi reżyserami chciałaby Pani częściej współpracować?*

— Myślę, że z Krzysztofem Zanussim i Andrzejem Wajdą.

— *Gdyby zaproponowano Pani wyreżyserowanie filmu, czy podjęłaby się Pani tego zadania?*

— Nie. Nigdy. Uważam, że jest to zawód typowo męski.

— *Czy zagrałaby Pani w filmie Bergmana?*

— Jak dotąd propozycji takiej nie otrzymałam. Gdyby jednak zaszła taka możliwość, zrobiłabym to z przyjemnością, choć muszę przyznać, że tematyka filmów Bergmana nie wydaje mi się aż taka rewelacyjna. Jest sporo przesady w opiniach krytyków filmowych. Nasz Kałużyński powiedział kiedyś (słusznie zresztą), że Bergman ma obsesję na punkcie obnażania człowieka z jego najbardziej osobistych, intymnych spraw.

— *Grała Pani w wielu filmach polskich i zagranicznych. Czy którąś z tych ról może Pani określić jako życiową?*

— Ta rola czeka na mnie. Czuję to i wiem, że muszę kiedyś zagrać zwykłą, przeciętną kobietę polską. Chciałabym, aby była to rola prawdziwa, a przez to — bliska widzom. Myślę ciągle o filmie ukazującym trzy pokolenia kobiet. Rzecz jasna, nie jest powiedziane, że będzie to stuprocentowa życiowa rola.

Notował: **Krzysztof Woch**

POD PARAGRAFEM

Europejczyk

TADEUSZ Kręt miał zawsze wygórowane ambicje i wysokie mniemanie o sobie. Niestety, życie szczędziło mu spełnień. Tak że ostatecznie jako 27-letni mężczyzna, niepracujący, rozwiedziony, o wykształceniu średnim — wylądował w więzieniu, czyli zakładzie karnym, co mu się zdarzyło już nie po raz pierwszy. I taka jest aktualna sytuacja Tadeusza Kręta, daleka od jego pragnień, choć bliska jego możliwościom. Ale po kolei.

Średnią ogólnokształcącą skończył na dostatecznie z plusem. Na studia się nie dostał dwukrotnie ze względu na mierne rezultaty egzaminów wstępnych. Do wojska się nie nadawał ze względu na wadę wzroku i spotkało go coś najgorszego w życiu: przyszło mu mianowicie pójść w urzędniki. Kręt wprawdzie niedokładnie orientował się do jakich wyższych celów los go przeznacza, w każdym razie z pewnością nie była to średnia dola urzędnicza.

W tak zwanym międzyczasie Krętowi przydarzyło się coś, co ludzie określają, że m u s i a ł się ożenić. Z kobietą, która posiadała maturę, zawód sprzedawczyni i mamusię z naleciałościami kresowego akcentu w mowie.

Ta mamusia zresztą widziała znacznie lepszą partię dla swej córki, ale trudno, skoro mus to mus. Teściowa była uprzejma zwracać uwagę zięciowi, aby się wziął za siebie, jakąś karierę zaczął robić, mieszkanie spółdzielcze w końcu załatwił. A ponieważ było dziecko — żeby żonie pozwolił pójść na urlop bezpłatny.

Czynienie zadość tym żądaniom zajęło Krętowi czas jakiś, ale w końcu mieszkanie spółdzielcze i urlop bezpłatny małżonki stały się faktami. Kręt zarządzał swoją żoną despotycznie i wyniośle, tak że ona — jak powiadają — nie mogła mu podskoczyć, choć próbowała i awantury domowe z tego tytułu też były. Głównie o urządzenie mieszkania, które Kręt widział na sposób europejski (nowoczesne, lekkie regały, tapety, kuchnia w stylu ludowym i tym podobne), a teściowa finansująca mieszkaniowe inwestycje, widziała, niestety, na sposób tradycyjno-kresowy (wysoki połysk, kryształy, szlaczek na ścianach). Nie było zgody w tej rodzinie, podstawowej komórce społecznej zresztą.

Raz Kręt, który cenił był życie z szerokim oddechem, podpadł. Pojechał mianowicie w Polskę z kolegą, zatrzymali się w mieście średniej wielkości, w hotelu komunalnym, gdzie pod wpływem alkoholu zdemolowali krzesło, dwa prześcieradła, parasole oraz maty słomiane na łączną kwotę 1200 złotych. Sześć miesięcy pozbawienia wolności, jeśliby szło o Tadeusza Kręta.

Odsiedział wszystko, wrócił do domu, patrzy, a tu wszędzie wysoki połysk, kryształy, szlaczek na ścianach. Teściowa zainwestowała i Kręta trafił szlag. Odtąd Kręt rozpoczął to, co się w języku sądowym nazywa znęcaniem moralnym i fizycznym nad żoną (która popierała estetyczno-mieszkaniowe przedsięwzięcia swojej mamusi).

Jeszcze nie urządzona pozostała właściwie tylko łazienka i w tej dziedzinie Kręt twardo postanowił zrealizować swoje europejskie pomysły. Musi być łazienka na różowo, a przede wszystkim wokół ścian lustra. Żona z konieczności przystała na ten projekt i we dwójkę wybrali się do spółdzielni szklarzy, gdzie usłyszeli, że lustra proszę bardzo, trzy tysiące złotych.

Kwota dosyć wysoka, szczególnie że Krętowa na urlopie bezpłatnym, a Kręt po wyjściu z więzienia nie podjął pracy, tylko przemyśliwał nad europejskim wystrojem swojej łazienki. Ostatecznie wpadł na pomysł, iż lustra można zdobyć całkiem niewielkim wysiłkiem i bezpłatnie.

Uzbroił się w śrubokręt i nocą w sąsiednich blokach wykręcił z wind siedem luster, które są mocowane na dwa wkręty. Siedem luster zamocował w łazience, która nareszcie zaczęła być do czegoś podobna. Ale że mieszkanie było do niczego nie podobne, nadal maltretował żonę.

Minął rok w tym układzie i żona nie wytrzymała, doniosła komu trzeba, że Kręt, mąż jej despotyczny, lustra ukradł. Milicja udała się do administratorki osiedla, która zameldowała, że rok temu nie zameldowała, iż ktoś ukradł z wind siedem luster wartości 1050 złotych.

W łazience Kręta udało się funkcjonariuszom odkręcić tylko dwa lustra i zwrócić administracji. Powstał problem, jak zabezpieczyć pozostałe pięć, mienie przecie pochodzące z kradzieży, ale nie dające się zedrzeć ze ściany. I Kręt musiał napisać zobowiązanie: „Zobowiązuję się przetrzymać 5 (pięć) sztuk luster pochodzących z kradzieży do wyjaśnienia. Nie sprzedam ich ani nie uszkodzę".

Gdy to się wszystko działo, Kręt zdążył jeszcze otrzymać rok w zawieszeniu za znęcanie się nad żoną, a następnie rozwód. 5 (pięć) luster nadal świadczy o europejskich upodobaniach gospodarza łazienki, przy czym on, niestety, chwilowo być nie może ponieważ właśnie siedzi za kradzież 7 (siedmiu) luster, z których tylko 2 (dwa) udało się odzyskać.

pom

KALEJDOSKOP

Nos dziennikarski

Wanda Bubińska z „Prawa i Życia" poszła śladem najbardziej pomysłowej dziennikarki „Sztandaru Ludu", Anny Bocian, i zatrudniła się w charakterze salowej w jednym z warszawskich szpitali. Pisze m. in.: „Pielęgniarka, która weszła do dyżurki, gdzie spał lekarz, znalazła na krześle prezerwatywę. Wyrzuciła ją, żeby salowa nie widziała. W chwilę później właśnie salowa znalazła drugą, pod poduszką." Wanda Bubińska była salową w klinice położniczej. Gdzie jak gdzie, ale tutaj lekarz musi być szczególnie ostrożny! A swoją drogą ta Bubińska ma dziennikarskiego nosa! Wszystko wywęszyła...

Święta prawda

Marian Jonkajtys, sterujący warszawskim Teatrem na Targówku, powiedział w wywiadzie dla „Kuriera Polskiego" (nr 39): „W dalszym ciągu panoszy się na naszych estradach amatorszczyzna i to w stopniu bodaj większym niż przed paru laty. Przedsiębiorstwa estradowe nastawione są na maksymalną eksploatację wykonawców. Nie ma, u nas bodaj innego zawodu, w którym młody człowiek niewiele sobą reprezentujący, potrafiłby tak dobrze zarobić. Prymitywny refrenista, który przygotowuje 2—3 chwytliwe piosenki, ma szanse krążyć z ekipą estradową przez cały rok od miasta do miasta, nieźle z tego żyjąc." Chciałoby się dodać, że nieprymitywni refreniści też potrafią chałturzyć. Jeszcze jak!

Czym skorupka...

Z felietonu Urszuli Kozioł w „Odrze" (nr 2): „Niektórzy ludzie pryncypialnieją z wiekiem, i to na naszych oczach. Stają się drętwi, przywykają i do tej własnej drętwoty i do drętwoty bezbarwnej architektury i do drętwoty dyrdymałów, którymi raczą się obficie nawzajem bez specjalnej już nawet okazji i bez szczególnych pretekstów, z samego rozpędu. A trzeba przyznać, że mało co ma taki rozpęd jak drętwota. Zwłaszcza że niektórzy ludzie dopiero wtedy czują się swojsko, bezpiecznie i zacisznie, niczym w domowych papuciach, kiedy wokół nich jest drętwo. I trudno się dziwić. Oni tej drętwizny już wyuczyli się na medal, już ją wykuli na blachę, już znają ją na wyrywki, już z niej pozdawali egzaminy, już z jej obrębu porobili dyplomy i z coraz większym powodzeniem wykładają ów łatwy w użyciu przedmiot innym. Oni już tak znakomicie potrafią udrętwiać wszystko, czego się tkną, że nawet naprawdę trudno się dziwić, jeśli boleśnie urazi ich czyjś niekonwencjonalny gest, słowo odstające od rutyny, czy myśl jeszcze nie przemielona na papkę według recept, do jakich nawykli. Ach, ci niektórzy ludzie! Ich wszystko to, co nie jest drętwe, natychmiast wytrąca z równowagi. Im wszystko to jawi się jako nieodpowiedzialna ekstrawagancja, nietakt, wyskok, zamach na udrętwiony porządek, którego pragną strzec jak źrenicy oka, byle wszystko było po staremu. Po nauczonemu. Po nawykniętemu..." Co jednak robić, gdy pryncypialnieją młodzi? Aż strach pomyśleć, jacy oni będą za lat dziesięć, dwadzieścia. Uwaga ta nasunęła się jednemu z braci Kamenowiczów w trakcie przysłuchiwania się dyskusji (?) na Pewnym Ważnym Zebraniu.

Trudny wybór

L. Gnot wyznał na łamach „Kuriera Lubelskiego" (z 18—19 II), że aby obejrzeć w TV pierwszy program zrealizowany w Lublinie przez przydzielony naszemu ośrodkowi wóz transmisyjny, musiał zrezygnować ze spotkania z Dostojną Jubilatką, p. Marią Bechczyc-Rudnicką. Braci Kamenowicze dokonali innego wyboru, toteż ów pierwszy program znają tylko z relacji L. Gnota. Jak z niej wynika, nie ma czego żałować. Niech więc żałuje L. Gnot!

Tajemnice poczty

Jeden z braci Kamenowiczów wysłał 23 stycznia list z Bratysławy do Lublina, dzień ów odnotował datownik bratysławskiej poczty. Na kopercie był drugi datownik — warszawski, który wskazywał dzień... 4 lutego. List do adresata trafił 8 lutego. Tego samego 8 lutego brat Kamenowicz otrzymał list z Naumburga w NRD pisany 4 lutego, z podziękowaniem za wysłaną również 23 stycznia kartkę z Bratysławy i nadaną cztery dni później kartkę z Pragi. Fakty te pozwalają przypuszczać, że listy z zagranicy (poza NRD) grzęzną w zakamarkach Poczty Polskiej. Co będzie w lecie, gdy zacznie się prawdziwy sezon turystyczny?

Dla kronikarza, który w 2078 roku będzie redagować rubrykę PRASA SPRZED STU LAT PISAŁA

Z herbatą na ty

Jerzy Urban zajął się w „Szpilkach" (nr 3) UMCS-owską herbatą, a ściślej pismem z 27 grudnia ub. r. (RO/ld-1/77) dotyczącym zaopatrzenia indywidualnego wszystkich grup pracowników uniwersyteckich w herbatę paczkowaną. Artykuł 1 stanowi, że każdemu pracownikowi przysługuje miesięcznie 5 dkg herbaty paczkowanej, której wartość nie powinna przekraczać 18 zł. Nominacja na kupowacza herbaty jest zdecentralizowana i należy do kompetencji dyrektorów lub nawet kierowników tylko. Dodatkowy zakup herbaty może nastąpić w wypadkach: a) sporadycznych, b) uzasadnionych, c) po uprzedniej akceptacji dyrektora — doktora administracyjnego. Artykuł 10 stanowi: „Pracownik nie może otrzymać ekwiwalentu w przypadku nie korzystania z przydziału herbaty." Wymienione pismo podpisał dyrektor dr Leszek Rouppert. Bracia Kamenowicze podają ów fakt za Urbanem do powszechnej wiadomości lubelskich instytucji. Zamiast tworzyć nowe reguły korzystania z kawy, warto skorzystać z doświadczeń UMCS!

Kłopoty z węgierskim

Telewizja Polska w poniedziałek 13 II br. przedstawiła premierę sztuki węgierskiego pisarza M. Gyarfasa „Pałac pod gwiazdami". W dialogu tej sztuki kilkakrotnie pada nazwisko Szechenyi'ego znanego działacza politycznego w rządzie rewolucyjnym 1848 roku. Pada, ale źle, aktor mówi je tak jak jest napisane (po polsku). Wielu Polaków już wie o tym, że węgierskie sz to s, a s to sz, reżyser sztuki nie. Ale przecież jeśli nie zna się obcego języka powinno się zajrzeć do encyklopedii, w której obok pisowni jest podawana wymowa znanych nazwisk. A w tym konkretnym wypadku, pomijając wydłużenia samogłosek, powinno ono brzmieć „Seczeni".

Pseudonim literacki w ewidencji

Wszyscy pamiętamy z historii literatury polskiej, że Maria Konopnicka używała dość często pseudonimu literackiego: Jan Sawa. Pamiętali o tym też ci, którzy nadawali taką nazwę ulicy w osiedlu LSM. Nie pamiętał jednak ten pracownik Urzędu Miasta, który przygotowywał podział miasta na obwody wyborcze i w spisie ulic należących do pewnego obwodu głosowania umieścił ulicę... Sawy Jana, bo jak to taką dziwną nazwę zmieścić w ewidencji: pod S czy pod J? Może warto by też pisać Czarnego Leszka czy Wielkiego Kazimierza!

Przyspieszenie to nie szybkość

O polskim trolejbusie opartym na karoserii jelcza PR-110 pisał 15 lutego „Sztandar Ludu" opierając się na materiale agencyjnym. Podoba nam się ten trolejbus, ale nie podoba nie odróżnianie szybkości od przyspieszenia. Czytamy tam bowiem: „Uzyskiwał dobre przyspieszenie (do 75 km/godz.)..." Przyspieszenie to wzrost szybkości, czyli, jak mówią kierowcy, zryw, a 75 km/godz. znaczyłoby, że potrzeba jednej godziny, by zwiększyć szybkość od 0 do 75 km/godz. Dlatego zresztą przyspieszenie mierzy się w metrach na sekundę do kwadratu. A gdyby powiedziano prosto, że osiągał szybkość 75 km na godz., wszystko byłoby jasne.

Najkrótsza recenzja w „Przekroju"

W najkrótszych recenzjach specjalizuje się „Kultura", gdzie rysuje je Zatorski. Ale chyba najbardziej celną najkrótszą recenzją serialu telewizyjnego okazał się tytuł wiersza Ludwika Jerzego Kerna w „Przekroju" z 12 II 1978 r., który brzmi „Czterdziestolatek czyli krótka rozprawa o głupocie". Oj, niekrótka! 21 odcinków!

Grunt to centralizacja

Kiedyś „służbowe karty wstępu do kin państwowych na terenie woj....." (tu wstawiało się nazwę województwa) wydawało Okręgowe Przedsiębiorstwo Rozpowszechniania Filmów (Lublin, ul. Piotrowskiego 8). Taką służbową kartę wstępu miały i dwie osoby z redakcji „Kameny". W tym roku „Kamena" otrzymała tylko jedną kartę i to wydaną przez Zjednoczenie Rozpowszechniania Filmów. Ze jedną, głupstwo, podzielimy się, ale upoważnia ona do obejrzenia jedynie tych filmów, które są pokazywane w „Kosmosie" i to na ostatnim seansie. Wiele interesujących filmów wyświetla się jednak w innych kinach, które przeważnie nie są zajęte do ostatniego miejsca. Czyżby szefom od rozpowszechniania filmów nie zależało na bezpłatnej reklamie prasowej? Recenzja dobra czy zła stanowi przecież w jakimś sensie reklamę. Najgorsze jest przecież milczenie!

Oj, głupoty...

Tygodnik „Perspektywy" zamieścił w pierwszym tegorocznym numerze reportaż Heleny Kowalik („Do Tomaszowa na całe życie") z — jak nazwa reportażu wskazuje — Tomaszowa Lubelskiego, oczywiście, choć po zmianie województwa wypadałoby go przekształcić w Tomaszów Zamojski. Ale nie o to chodzi. Reportaż był drapieżny, niektórzy ludzie poczuli się urażeni. Nie wnikamy, przynajmniej na razie, w meritum sprawy. Cytujemy jednak fragment listu do redakcji „Perspektyw" (nr 7) pióra Bolesława Cisły. Pisze on: „Gdyby ob. redaktor znała plan zabudowy i rozbudowy miasta i gdyby odróżniała pojęcia urbanizacja a estetyzacja — nie pisałaby głupot." Mocne słowa. Często tego typu stwierdzenie zastępuje argumenty. Kto jak kto, ale ob. Bolesław Cisło powinien je jednak posiadać. Piastuje bowiem funkcję naczelnika miasta.

Łojan spoważniał

Kazimierz Łojan spoważniał... Można tak powiedzieć, gdy się ogląda jego karykaturę w „Życiu Literackim" (nr 8). Podpis głosi: „Kazimierz Łojan, kierownik literacki Estrady Poznańskiej: „Chłop żywemu nie przepuści". A swoją drogą żal, gdy się pomyśli, ilu zdolnych ludzi wyniosło się z Lublina... Gdzieś ich doceniono, gdzieś na nich postawiono. Na szczęście Jan Józef Stanisław Kowalski pozostał w naszym mieście. Znacie go? My nie. Znamy natomiast Janusza Olczaka, który wydaje już bodaj dziesiątą powieść. Otrzymał mieszkanie, przestał się tułać w Zielonogórskiem. Jedna jaskółka wiosny nie czyni, ale cieplej, cieplej!

Szczęki II

Perypetie są duże, ale Jeannot Szwarc reżyseruje drugi film z gatunku szczękowców. Rekin II przypomina rekiniego Frankensteina, bowiem eksplozja w czasie zdjęć zniszczyła mu połowę pyska. Jest ruchliwy, bardziej ruchliwy niż poprzednik, obraca się dookoła swej osi, aby schwytać ofiarę. Film opowiada o zemście: w cztery lata po wydarzeniach stanowiących treść „Szczęk" turyści w Amity uspokajają się, jedynie szeryf Brody czuwa. Po zaginięciu dziesięciu nurków pojmuje, że koszmar wrócił, lecz mimo jego zakazów organizowane są regaty, na morze wyrusza dziesięć żaglowców. Z jednego z nich skacze do wody chłopiec, który ginie w paszczy rekina. Żaglowce śpieszą na pomoc chłopcu, zderzają się ze sobą, drą się żagle, pękają maszty. Do wody wpada kilkanaście osób, rekin ma wielkie żarcie. Szeryf Brody znów ma okazję udowodnić przewagę człowieka nad zwierzęciem. No, no!

Bracia Kamenowicze

ekran i widz

Nasze prywatne „Konfrontacje"

NIESTETY Lublin nie będzie miał w tym roku „Konfrontacji". Ta jakże wartościowa, doroczna impreza pokazująca najciekawsze światowe dokonania filmowe minionego sezonu, odbywa się tylko w sześciu miastach: Warszawie, Krakowie, Łodzi, Wrocławiu, Katowicach i Gdańsku. Ubiegłoroczna formuła „Konfrontacji", kiedy prezentowano aż 21 tytułów w 3 różnych zestawach w bardzo licznych miastach często mało przygotowanych do takiej inwazji ambitnego kina, formuła ta nie zdała egzaminu. Tym bardziej, że poszczególne zestawy, w których zresztą zaledwie 2—3 filmy prezentowały naprawdę wysoki poziom, typowano dla różnych miast i chyba zupełnie przypadkowo. Stąd zniechęcenie i rozczarowanie u jednych widzów, a brak zainteresowania u drugich. Tegoroczne „Konfrontacje" są więc ponownie bardziej zwarte — ograniczono się do 14 tytułów, ale za to jakie to są filmy!

Na czoło wybijają się przede wszystkim: francuski film — „Providence" Alaina Resnais z aktorskimi kreacjami Ellen Burstyn i Johna Gielguda, „Mroczny przedmiot pożądania" Luisa Bunuela, amerykański, nawiązujący do afery Watergate — „Wszyscy ludzie prezydenta" w reżyserii Alana J. Pakuli oraz „Casanova-Fellini" Federico Felliniego. Poza tym m.in. ubiegłoroczny łowca Oscarów: „Rocky" Johna G. Avildsena, radzieckie filmy: „Wezwij mnie w dal świetlistą" Giermana Ławrowa i Stanisława Lubszyna według prozy Wasilija Szukszyna (którego twórczość przeżywa w ostatnich latach tak wielki renesans) oraz komediowy „Mimino" gruzińskiego reżysera Gieorgija Danieliji; wreszcie erefenowski „Stroszek" Wernera Herzoga, „Czarne i białe w kolorach" Jean-Jacques Annauda. „Konfrontacje" otwiera najnowszy film Stanisława Różewicza „Pasja" ukazujący sylwetkę Edwarda Dembowskiego na tle rewolucji krakowskiej 1846 r.

Zazdrościmy tym, którzy za 300 zł — bo tyle kosztuje karnet — będą mieli filmową ucztę ciągnącą się przez pełne dwa tygodnie... Należałoby jednak przede wszystkim podjąć w najbliższym czasie starania zmierzające do sprowadzenia w przyszłym roku „Konfrontacji" z powrotem do Lublina. W końcu — jesteśmy jednym z największych w kraju ośrodków uniwersyteckich, centrum młodej inteligencji we wschodniej połaci Polski; wkracza na te tereny wielkimi krokami górnictwo, rozwija się przemysł a... kultura filmowa wciąż jeszcze toruje sobie do nas drogę z ogromnym trudem.

Możemy natomiast wyznaczyć sobie nasze prywatne „Konfrontacje". Rozciągnięte na przestrzeni najbliższych dziesięciu miesięcy. To znaczy — wytypować najciekawsze pozycje z tegorocznego repertuaru. W 1978 r. zobaczymy na polskich ekranach 200 filmów, wśród których znajduje się spora liczba tytułów uczestniczących w obecnych „Konfrontacjach". W zapowiedziach repertuarowych nie dostrzegłem niestety „Casanovy" ani „Wszystkich ludzi prezydenta" ale za to, w imponującym czasie od daty produkcji, obejrzymy amerykańskie „3 kobiety" Roberta Altmana, szwajcarską „Koronczarkę" Claude Goretty, włoską „Pustynię Tatarów" Valerio Zurliniego i amerykański przebój science fiction ostatnich dosłownie miesięcy — „Gwiezdne wojny" George Lucasa. Wejdzie także na ekrany głośny film Claude Leloucha — „Inny mężczyzna, inna szansa", „Przełomy Missouri" z aktorską kreacją Marlona Brando i „Taksówkarz" Martina Scorsese, który znajdował się w programie ubiegłorocznych „Konfrontacji". Filmy angielskie reprezentowane będą przede wszystkim przez kostiumowe: „Joseph Andrews" Tony Richardsona i „Pojedynkowicze" Ridleya Scotta a hiszpańskie — przez dzieła Carlosa Saury — „Kuzynka Angelica" i najnowszy: „Eliza, życie moje". Z filmów „gangsterskich", zobaczymy już wkrótce opowieść o jednym z największych gangsterów — „Lucky Luciano", z wojennych — szerokoekranową (z dźwiękiem „Sennsurrounod") amerykańską „Bitwę o Midway", z sensacyjnych — także amerykański „Port lotniczy 77", kontynuację cieszącego się swego czasu ogromnym powodzeniem „Portu lotniczego". Wśród 35 tytułów radzieckich zobaczymy filmy wchodzące na ekrany prawie równocześnie w Polsce i ZSRR a wśród nich wspomniany już: „Wezwij mnie w dal świetlistą", dalsze części „Żołnierzy wolności" Ozierowa, „Mimino" Danieliji. Wśród filmów NRD wyróżnia się „Mamo, ja żyję" Konrada Wolfa, Bułgarię reprezentuje przede wszystkim „Basen" Binki Żelazkowej, Czechosłowację — „Oswobodzenie Pragi" Otakara Vavry, Rumunię — „Na zgliszczach monarchii" Andrei Blaiera. Ale o repertuarze z krajów socjalistycznych i o zapowiadanych najciekawszych premierach polskich napiszę osobno.

Z wymienionych tylko powyżej tytułów widać, że bieżący rok zapowiada się w kinach naprawdę bardzo interesująco. I tylko należy sobie życzyć, żeby te nasze prywatne „Konfrontacje" znalazły operatywnego sojusznika w osobie Okręgowego Przedsiębiorstwa Rozpowszechniania Filmów w Lublinie. Żebyśmy krajowe premiery zagranicznych filmów mogli oglądać mniej więcej w tym samym czasie, co widzowie stołeczni, a nie — dopiero po wygraniu co ambitniejszych filmów przez kina prowincjonalne.

NA EKRANACH

„Wszyscy i nikt". Film pod. polskiej. Reż. — Konrad Nałecki. Scenariusz — Janusz Przymanowski wg własnej powieści pod tym samym tytułem. „Westernowa" konwencja, akcja dzieje się w 1946 r. w Bieszczadach. Grupa zdemobilizowanych żołnierzy postanawia podjąć obronę miasteczka przed grasującą w okolicy bandą „Haka". Dramat postaw patriotycznych, politycznych, obywatelskich. Czołówka polskich aktorów: Emil Karewicz, Wiesław Gołas, Ryszard Pietruski, Bogusz Bilewski, Ewa Borowik, Ewa Zietek i in. Jedną z głównych ról odtwarza wychowanek Teatru „Renum" prowadzonego przez Reginę Możdżeńską najpierw w Chełmie a obecnie w Lublinie — Krzysztof Pieńkowski („Hak"). Prapremiera filmu odbyła się 30 lutego w lubelskim kinie „Kosmos".

M.D.

SZPALTA O SPORCIE

JEDEN Łuszczek nie czyni wiosny w polskim narciarstwie wyczynowym — chciałoby się powiedzieć, przeżywszy radość ze zdobytych medali na mistrzostwach świata w Lahti. Za radością idzie jednak nadzieja, że zachęceni jego wynikami inni młodzi ludzie, zamiast szaleć na zboczach Kasprowego i zwiększać zużycie gipsu w zakopiańskim szpitalu, zaczną próbować swych sił na nartostradach górskich i drogach nizinnych, a wtedy wśród nich mogą wyrosnąć kadry polskich biegaczy.

Przy okazji podziękować trzeba śląskim działaczom narciarskim za zorganizowanie dwu imprez masowych — biegów: Piastów i Gwarków, które tak jak biegi narodowe mogą odkryć Chromików, Zimnych i Krzyszkowiaków biegów narciarskich.

Nasz już świetny biegacz ma 22 lata, przed nim więc jeszcze wiele lat startów, jeśli będzie nadal pracował tak solidnie jak dotychczas.

Tylko dwa lata starszy jest od niego znany mistrz świata zawodowców w wadze ciężkiej Leon Spinks, który wbrew wszystkim prognozom pokonał słynnego Muhammada Ali, dawniej Cassiusa Claya. Ten zaś w ciągu 17 lat swej zawodowej kariery bokserskiej w 58 pojedynkach zwyciężał 55 razy, a o tytuł mistrzowski walczył 23 razy. My pamiętamy Cassiusa Claya jako zwycięzcę Zbigniewa Pietrzykowskiego w finale rzymskich igrzysk olimpijskich, po których przeszedł na zawodowstwo.

Nowy mistrz świata też spotykał się na ringu z Polakami. Jeszcze jako amator raz wygrał, ale i raz przegrał z Gortatem. Zdobycie tytułu olimpijskiego w Montrealu po znokautowaniu w walce finałowej Kubańczyka Sixto Sorii otworzyło mu drogę do kariery zawodowca, co jest głównym celem bokserów amerykańskich.

W pierwszym roku (1977) walk jako zawodowiec pokonał siedmiu przeciwników, w tym pięciokrotnie przez nokaut.

Ale gdzie mu jeszcze było do bogatej historii Alego, dla którego spotkanie ze Spinksem było walką już z siódmą generacją mistrzów olimpijskich od Pettersona — mistrza z Helsinek (1952 r.) poprzez Fraziera (1964 — Tokio), Foremana (1968 Meksyk) aż do olimpijczyka z ostatnich igrzysk — właśnie Spinksa.

Praktycznie żadnej szansy nie dawali fachowcy Spinksowi, jak mówili „nie dlatego, że jest złym pięściarzem, a po prostu dlatego, że Ali jest zbyt silny".

Stało się inaczej. Zwyciężyła młodość i kondycja nad siłą i rutyną. Teraz oczekuje go walka z kolejnym kandydatem do tytułu mistrzowskiego Kenem Nortonem, który miał walczyć po raz czwarty z Alim o tytuł mistrzowski, a tymczasem czeka go walka ze Spinksem.

A tymczasem przed Argentyną młodzi piłkarze polscy obok starych członków reprezentacji w odmiennych warunkach klimatycznych próbowali swych sił na obozie w Jugosławii i krajach arabskich. Którzy z nich znajdą się w kadrze na mistrzostwach świata zadecyduje nie wiek i nie doświadczenie, ale umiejętności wykazane w rozpoczynających się spotkaniach ligowych i na dalszych obozach i sprawdzianach w meczach międzynarodowych. Stawiajmy jednak też na młodość.

tgw.

Szyfrogram (nr 5)

Po odgadnięciu wyrazów pomocniczych należy przenieść do diagramu na miejsce liczb odpowiadające im litery i odczytać rozwiązanie — fragment książki pisarza, którego imię i nazwisko utworzą pierwsze litery 15 początkowych wyrazów pomocniczych. Pojedyńcze czarne kratki w diagramie oznaczają koniec słowa, a podwójne — zdania. Wyrazy pomocnicze:

16. 11. 19. 20. 24. 33. 26. 77 — przedwieczorny półmrok,
15. 42. 28. 38. 68. 34. 8. — państwo afrykańskie,
13. 1. 32. 27. 73. 18 — propagowanie nagości,
12. 30. 80. 36. 3 — ptak — godło,
45. 4. 87. 41. 79 — liczba porządkowa,
37. 55. 89. 78. 69. 14 — zmartwienie, ambaras,
23. 46. 58. 95. 43. 105 — prelekcja,
2. 124. 23. 39. 9. 48 — biała broń,
6. 103. 122. 17. 107. 60 — bodziec,
21. 97. 22. 40. 5 — winda,
31. 72. 65. 93. 66. 56 — garda, zabezpieczenie przed ciosem lub strzałem,
7. 44. 59. 82. 100 — posag,
50. 47. 53. 49 — między podwórzem i mieszkaniem,
51. 84. 52. 118. 90. 62 — rozdział Pana Tadeusza,
10. 94. 81. 57. 61. 106. 101 — wielkie dzieło Krasińskiego,
29. 121. 115. 35. 64. — porozumienie,
135. 102. 76. 120. 116. 67 — przeczyszczający olej,
88. 131. 63. 114. 123 — hodowlane zwierzęta rogate,
74. 110. 85. 125. 75 — lalka, marionetka,
133. 83. 113. 111 — miasto na Mazurach,
92. 71. 54. 86. 141 — wybitny poeta polski, autor „Kwiatów polskich",
137. 99. 96. 109. 128 — stulecia,
98. 108. 140. 70. 134 — niedostatek,
132. 117. 91. 129. 119. 126 — skupisko ludzi i domów,
127. 136. 139. 112. 104. 130. 138 — modna przed paru laty gra w karty.

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	■	11	12	13	14	15
16	17	18	19	20	■	21	22	23	24	25	26	27	■	28	■
29	30	31	32	33	34	35	36	■	37	38	39	40	41	42	43
■	44	45	46	47	48	49	50	51	52	53	■	■	54	55	56
57	58	59	■	60	61	62	63	64	65	■	66	67	■	68	69
70	71	72	73	74	75	76	77	■	78	79	80	81	■	82	83
84	85	86	87	■	88	89	90	91	92	93	■	94	95	96	97
98	99	100	101	102	103	■	104	105	106	107	108	109	110	■	111
112	113	114	115	116	117	118	119	120	121	■	122	123	124	125	126
127	128	129	130	131	132	■	133	134	135	136	137	138	139	140	141

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. poczt. 231 20-951 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bony książkowe.

Rozwiązaniem szyfrogramu z nr 3 był fragment „Szosy wołokołamskiej" Aleksandra Beka:

„Żołnierze weszli do schronów. Niemiecki oddział rozpoznawczy, który po dwugodzinnym obstrzale zbliżył się do lasu, został przyjęty ogniem. Pluton żył, pluton nie ustępował z drogi."

Za prawidłowe rozwiązanie szyfrogramu nr 3 bony książkowe po 40 zł za każdy wylosowali: Wacława Krusińska 20-455 Lublin, Siemiradzkiego 16, Iwona Szirmer 20-214 Lublin, Motorowa 3/38, Kazimierz Guz 20-836 Lublin, Nowotki 18/115, Piotr Olszak 24-100 Puławy, Wróblewskiego 19/39.

listy do kamery

Dokończenie ze str. 1

Jest sprawą oczywistą, że nie poprawi się sprawności ochrony narządów ruchu ludności przez administracyjne tępienie znachorstwa. Jedyną racjonalną drogą jest wzmacnianie i rozwijanie pionów powołanych do zapobiegania i leczenia urazów narządów ruchu. Takimi pionami są ortopedia, traumatologia i rehabilitacja narządów ruchu, dotychczas jeszcze traktowane jako wąskie specjalności, włączone do chirurgii ogólnej, kadrowo, materiałowo i technicznie niedoinwestowane.

Chodzi o sprawy wielkiej doniosłości. Tempo pracy, ruchliwość społeczeństwa, wydłużenie życia ludzkiego, rozwój motoryzacji, a także nadużywanie alkoholu zwiększają stale liczby uszkodzeń narządów ruchu, a postęp lecznictwa w tej dziedzinie nie nadąża za rosnącymi z roku na rok potrzebami. Sprostać im można m. in. przez właściwe szkolenie kadry, lepsze wyposażenie lecznictwa, rozszerzenie jego bazy.

Jeśli reportaż K. Wocha jest, wbrew pozorom, wyrazem jego rodzących się zainteresowań walką z urazowością narządów ruchu, chętnie będziemy w nim widzieć sprzymierzeńca.

Proszę przyjąć, Szanowny Panie Redaktorze, wyrazy należnego poważania.

Prezes Lub. Oddz. Towarzystwa do Walki z Kalectwem.
Prof. dr S. Piątkowski

DROBNOMIESZCZAŃSTWO

Podczas ostatniej krajowej konferencji PZPR Edward Gierek krytycznie wyeksponował zjawisko wzorowania się na zachodnim modelu życia, modelu nastawionym na konsumpcję i w gruncie rzeczy drobnomieszczańskim. Tak się składa, że z konieczności zawodowych obracam się w środowisku akademickim, więc mam pewne pojęcie o wzorcach obyczajowych i ideologicznych, funkcjonujących w tej ważnej społecznie grupie. No i ze smutkiem muszę stwierdzić, że niektórzy pracownicy naukowi, przede wszystkim młodsi, szczyt szczęścia widzą w gromadzeniu dóbr materialnych, najlepiej — pochodzących z Zachodu. Pewien pan docent habilitowany po angielsku „dedykuje" swoim studentom wizytówki, mimo że nie anglista. Inny pan, który niedawno doktoryzował się, w ostatniej chwili unikając rotacji, także chętnie faszeruje rozmowy towarzyskie anglosaskimi zwrotami, dając przy tym do zrozumienia, że prawdziwa nauka to jest „tam". W pogoni za materialnymi wykładnikami prestiżu młodzi naukowcy dekorują mieszkania meblami i innymi sprzętami stylizowanymi na antyki — jakby nie zdając sobie sprawy z żałosnej fałszywości tej sytuacji. Niektórzy „przypominają" sobie, że pochodzą ze szlachty i zamawiają sygnety z herbem... Smutne to zjawisko, sygnowane przez małych, pozbawionych godności ludzi — dyplomowanych specjalistów...

A. W.
(nazwisko i adres znane redakcji)

ŁAMANIE PRZEPISÓW

Osiedle im. Bolesława Prusa (LSM) będzie zapewne przyjemne i estetyczne, co można powiedzieć już teraz, jeszcze przed zakończeniem jego budowy. Ale będzie tak pod warunkiem, jeśli dorośli jego mieszkańcy pójdą po rozum do głowy i przestaną niszczyć to i owo (np. krzewy i trawniki) oraz łamać racjonalne zarządzenia. Do wnętrza osiedla nie wolno wjeżdżać samochodom, pomijając dostawcze i spółdzielcze, ale zakaz ten jest permanentnie lekceważony przez aspołeczne jednostki. Przez dłuższy czas aleją dla pieszych podjeżdżała pod dom jakaś pracowniczka służby zdrowia — karetką pogotowia ratunkowego, czego jakoś nie dostrzegała administracja osiedla, choć okna jej lokalu wychodzą we właściwym kierunku. Teraz prym wiodą osobu mieszkające przy ul. Pozytywistów: na przykład 11 i 12 lutego pod budynkiem nr 20 parkowała czarna wołga — absolutnie bezprawnie.

Jan Kociołek
Lublin

GDZIE SĄ?

Dwutygodnik „Nowe Książki" przyznał tzw. honorowe exlibrisy za książki, które szczególnie przypadły do gustu członkom redakcji. Wyróżnienie to spotkało takie pozycje: „Ta rzeka" Brodla, „Podróże do Włoch" Iwaszkiewicza, „Rzeczpospolita Polaków" Osmańczyka, „Krótka historia Teatru Polskiego" Raszewskiego, „Bóg, szatan, mesjasz ?...?" Sandauera, antologia poezji radzieckiej o Polsce „Jak unieść wierszem twoją chwałę", „Wincenty Witos, chłopski polityk i mąż stanu" Zakrzewskiego, „Dzieje literatur europejskich" t. I pod red. Floryana, „Encyklopedia Rewolucji Październikowej" pod red. Bazylowa i Sobczaka, „Pamiętniki emigrantów" pod red. A. Andrzejewskiego.

Tak, honorowe exlibrisy otrzymały cenne pozycje. Tylko gdzie je można jeszcze kupić?! Przy naszych nakładach, wyjątkowo niskich, ciekawsze książki nie mogą trafić do tak szerokich kręgów czytelniczych, aby można było mówić o tym, że literatura bierze udział w formowaniu świadomości społecznej. Ostatnio niektóre wydawnictwa wypuszczają książki w nakładzie 1000—2000 egzemplarzy, kierując się zamówieniami sieci księgarskiej. A ludzie, którzy nazywają się księgarzami, z reguły, dla zwiększenia obrotów, preferują: książki dla dzieci i młodzieży, rzeczy wojenne i przygodowe, kryminały oraz wspomnienia. W takim układzie pozycje z ambicjami, społecznie potrzebne mają szanse co najwyżej na ów 1000 egzemplarzy. Rozumiem, papieru brakuje, papier kosztuje. No dobrze, ale błąd tkwi chyba gdzieś indziej, jako że niektóre wydawnictwa latami leżą w księgarniach, bo nikt ich nie potrzebuje, nie chce kupić. Po co wydaje się takie buble, skoro są kłopoty z papierem?!

Wanda Grotowska
Zamość

JESZCZE O RELACJI GEN. PISKORA

Słusznie zauważył w liście do redakcji „Kamery" (nr 3 z br.) pan Stanisław Rost z Lubtina, że do relacji dowódcy Armii „Lublin", gen. Piskora, wkradł się błąd (nie z winy redakcji).

2 pułku piechoty nie było w rejonie Tomaszowa Lubelskiego, gdyż walczył w składzie 2 Dywizji Piechoty Legionowej, a od 8 września 1939 r. — w składzie 30 Dywizji Piechoty (Armia „Łódź"). W relacji gen. Piskora chodzi o 11 pułk piechoty z 23 Górnośląskiej Dywizji Piechoty płka dypl. Władysława Powierzy. To przy tym pułku pozostawał gen. Piskor w okresie natarcia na Tomaszów Lubelski w nocy z 19 na 20 września 1939 r.

Błąd maszynowy wystąpił natomiast w innym fragmencie relacji, gdy zamiast 29 Dywizja Piechoty rezerwowej wydrukowano 30 Dywizja Piechoty, co niniejszym pragnę sprostować.

Ryszard Nowosad
Kraśnik

Pismo Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich
Założyciele Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski

Redaguje zespół: Maria Rechczyc-Rudnicka, Jerzy Dostatni (sekretarz redakcji), Tadeusz Gwardak (z-ca red. naczelnego), Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mańkowski, Zygmunt Mikulski (kierownik działu literackiego) — członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Mirosław Derecki, Tadeusz Jasiński, Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystycznego) i Maciej Podgórski. Redaktor techniczny — Irena Komosa, korektor — Ewa Dybek.

Prenumerata na kraj przyjmują Oddziały RSW „PRASA—KSIĄŻKA—RUCH" oraz urzędy pocztowe i doręczyciele — w terminach:
— do 25 listopada na styczeń, I kwartał, I półrocze roku następnego i na cały rok następny,
— do dnia 10 miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty na pozostałe okresy roku bieżącego.

Cena prenumeraty rocznej — 78.—

Jednostki gospodarki uspołecznionej, instytucje i organizacje społeczno-polityczne składają zamówienia w miejscowych Oddziałach RSW „PRASA—KSIĄŻKA—RUCH".

Zakłady pracy i instytucje w miejscowościach, w których nie ma Oddziałów RSW oraz prenumeratorzy indywidualni, zamawiają prenumeratę w urzędach pocztowych lub u doręczycieli.

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 50% droższa od prenumeraty krajowej przyjmuje RSW „PRASA—KSIĄŻKA—RUCH" Centrala Kolportażu i Wydawnictw ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto PKO nr 1501-71 w terminach podanych dla prenumeraty krajowej.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty. Kierownik działu literackiego przyjmuje interesantów w poniedziałki i piątki w godz. 14—16.

Wydawca: RSW „Prasa—Książka—Ruch" Lubelskie Wydawnictwo Prasowe, Lublin, ul. Jasna 6. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN Unicka 4. Zam. 524. J-4.

Numer łamał Mieczysław Psujek, drukował zespół pod kier. Stanisława Wielgosa

Adres redakcji 20-029 Lublin, ul. Skłodowskiej 2/1

Nr indeksu 30251

Telefony: sekretariat, redaktor naczelny 255-93, sekretarz redakcji 218-93, z-ca red. nacz., dział publicystyki i literacki 275-35.

Korespondencje zwykłe prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin 1, skrytka pocztowa 231; polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji.

czas 2552/1978/5

LISTY DO GERWAZEGO

CZEGO dzisiejszy czytelnik oczekuje od literatury? Niczego? Do tego stopnia niczego, że już nie stara się wpłynąć na nią swoimi zainteresowaniami, a co najwyżej wykupuje nowości, które doczekały się efektowniejszej ekspozycji w witrynie księgarskiej? Mamy obecnie nowy rodzaj komunikacji w relacji literatura — czytelnik. Kiedyś było tam ukochanie, uwielbienie, zaangażowanie, zniecierpliwienie, sprzeciw. Celebracja i ciśnięcie książką o ścianę. Dzisiaj czyta się więcej, ale czy więcej treści przez to wchodzi w świadomość odbiorczą? Czy nie zużywa się więcej książek tylko tak, jak zużywa się więcej obuwia?

Wypadałoby zapytać, kim dziś dla czytelnika jest autor. Kiedyś — jeśli nie autorytetem, to przynajmniej interesującym rozmówcą, od którego wypowiedzi może się zacząć rozmowa na ostre. Kimś istotnym dla rozwoju światopoglądu niezależnie od „atmosfery", w jakiej rozmowa przebiegała. Nie musiała przebiegać w „życzliwej i pełnej wzajemnego zrozumienia". Co dzisiaj? Aż wstyd i strach ujrzeć ile nijakości wchodzi w proces krążenia dóbr literatury, jak często odgłos maszyny drukarskiej jest jedynym odgłosem reakcji na książkę.

Czy dlatego, że pisarze są gorsi? Pisarze na ogół są gorsi i lepsi, a czytani są nie tylko ci drudzy. Jak wspomniałem, kolejki przed kasami w księgarniach nawet wzrastają. Więc co się stało? Przepadł tak zwany autorytet pisarza? Do diabła, można mówić o autorytecie w wypadku Żeromskiego, Wyspiańskiego, Berenta. Ale raczej nie w wypadku Witkiewicza, Gombrowicza, Schulza. Nie aż o autorytecie. A przecież i ci byli czytani. Formowali fronton czytelniczych gustów, kaprysów, obsesji. Więc gdzie przyczyna? Może w warunkach czasu, który tak samo odbiera pisarzowi możność pełnej wypowiedzi, jak czytelnikowi możność pełnego zainteresowania? W zaczynającym się zmierzchu słowa jako środka artystycznej ekspresji? Przesunięciu akcentu na język naukowego zapisu?

Stawiam te pytania dla spojrzenia na przedmiot, bo jeżeli chodzi o mnie, odpowiedź mam. Otóż nie zwątpiłem jeszcze w literaturę i dlatego odpowiedzialność widzę po stronie pisarzy. I to nie paru, kilkunastu, prawie wszystkich. Mogłbym powiedzieć: nie zwątpiłem w literaturę, dlatego oskarżam literaturę. O łatwe zejście z pozycji inspiratorki, o pogodzenie się z cofnięciem prerogatyw, które jej przynależą. O przystosowanie się do miałkości współczesnego obyczaju. Można uważać za przedawnione powiedzenie o „inżynierze dusz", ale i „monter dusz" brzmi dumnie. Tymczasem powieść współczesna nie tylko nie formuje moralności swojego czasu, ale z samym życiem idzie o lepsze (czytaj: gorsze) w prezentowaniu jego wynaturzeń. Bez zboczenia seksualnego, scenki knajpianej, prostytutki, cinkciarza nie ma współczesnej powieści. Ciekaw jestem jak autor zyskuje materiał faktograficzny. Jak nie wstydzi się przyznać do fachowej znajomości przedmiotu. Spośród współczesnych prozaików można wybrać parę ładnych nazwisk zasługujących na wyróżnienie uczestnictwa w jakimś jury oceniającym stopień osiągnięć w znajomości i praktykowaniu form życia z tzw. społecznego marginesu. Powieść dziś stała się używką sensacji. Żadną „propozycją moralno-filozoficzną". Żadnym nawet obrazem życia.

Wektor nakierunkowany na komiks stał się tak energiczny, że niemal majoryzuje cały gatunek. Gdzie są dziś „sklepy cynamonowe" z ich fantazjotwórstwem i pasjonującym kilmatem językowym, gdzie jest „Młodość Jasia Kunefała", ta — jak ją kiedyś nazwał Roman Kołoniecki — „wieloczłonowa suita liryczna pod pozorami powieści", gdzie „Charaktery" — wnikliwe studium psychologiczne? I niech mi, mój Drogi, nie odpowiadają, że np. dzieje trochę po poetycku gapiowatego chłopca awansującego ze wsi do miasta są dziś niemożliwe ze względów historycznych. Pytam o styl, rodzaj, tonację dzisiejszej prozy. Mówiło się kiedyś, że jej przyszłością jest pozbycie się balastu fabularności (przez sąsiedztwo z introspekcją, esejem, kompozycją poetycką), ale widocznie pikantne ekscesy Little Time (jedna z bohaterek Bratnego) są tak atrakcyjne, że zanim co, pozostajemy jeszcze przy akcji.

Wcale nie chcę narzucać literaturze szat pontyfikalnych. Obojętne mi w jakim stroju chodzą, byleby książki były dobre. To znaczy prawdziwe, to znaczy nie komercyjne. A dodam, że i z tą komercyjnością sprawa jest wątpliwa. Bo jeśli mamy na myśli wysokość nakładu i związany z tym zarobek autora, to może on i jest. Ale jeśli profit w postaci rzeczywistego przywiązania do pisma, to raczej nie. Więc forsa do autorskiej kieszeni trafia, ale forsa przynosza również papierowe tacki i kubki jednorazowego użycia. Żaden to majątek być autorem jednotygodniowych bestsellerów. Znaczy że wydawnictwo biletami Banku Narodowego wypłaciło, ale nie wypłacił czytelnik monetą aprobaty. Panuje opinia że tekściarz jest kimś gorszym od poety. I słusznie. Ale są również tekściarze — prozaicy. Ba, rekrutujący się czasem z grona wziętych pisarzy. A w tym wzięciu na tyle rozsmakowanych, by zejść do poziomu gustów niższego rzędu, byle szerszego zasięgu.

A więc tak sekunduje epoce literatura piękna? Jesteśmy na zakręcie — ba, na wirażu — przechyl co i ruszy grozi sytuacją ekstremalną, a literatura podsłuchuje rozmowy przy restauracyjnych stolikach. W najlepszym razie zmyśla sytuacje, bo nie widzi wystarczającej atrakcyjności w realistycznie widzianym życiu. Na przykład „Plaża nad Styksem" Żukrowskiego. Dobra powieść? Bardzo. I Żukrowskiego zawsze przeczytam, kiedy tylko wyjdzie nowa rzecz. Ale jak mam uwierzyć, że kilkudziesięciu pisarzy, którzy zjechali do Rzymu z całej Europy nie tylko porozumiewa się ze sobą bez tłumaczy, ze wszystkimi podtekstami, ironijkami i niuansami swobodnie prowadzonej rozmowy, ale zna się ze sobą jak „łyse konie", „od podszewki", „na wylot"? To wprost grupa starych znajomych, z których na krótki czas jeden wyjechał do Hiszpanii, drugi do Irlandii, trzeci do Jugosławii, a na stałe wszyscy pędzą piotrkarski żywot w stolicy europejskiej cywilizacji. Mam w to uwierzyć? Taki towar wtyka mi autor, który lubi „trzymać na uwięzi", a do obscenów zniżać się nie chce.

Powieść nie daje myśleć. Autorzy jakby nie czytali. Tylko nagrywają strzępy zasłyszanych rozmów. Potem tę kaszę przesypują na strony maszynopisów. I to jest współczesny realizm. To jest sam konkret życia. A propos, czytałeś Trumana Capote „Z zimną krwią"? Ja chciałem przeczytać. Tak nudne, że nie udało mi się. Nie sądź, że nie obchodzi mnie śmierć kilku (już nie pamiętam ilu) ludzi. Ale też i nie prawda, że ten magnetofon nastawiony ex post do mnie przemówił. Snobi oczywiście rzucili się z zachwytami. Prawidłowe.

Trudno tylko zrozumieć, dlaczego milczy krytyka. To znaczy nie milczy, ale zachowuje się tak, jak w stosunku do umarłych: nic jeśli nie dobrze. Kiedyś dostawało się Sienkiewiczowi, Kasprowiczowi, Bałuckiemu. Dzisiaj nie mamy tak kiepskich pisarzy. Nie dostaje się nikomu.

Twój Protazy

RYS. JÓZEF JURCZYSZYN

Casanova Pamiętniki

rys Krystyna Wojcik